Nr. 26. 1891 r. Wydawnictwa Rok XIV.

GONIEC i ISKRA

Dziennik dla wszystkich, illustrowany.

Lwów, dnia 10. Września 1891 r.

Od Wydawnictwa.

Ponieważ zanim zajdą zmiany w wydawnictwie *Gońca i Iskry*, pragniemy ukończyć powieść *Wychowaniec* — cały przeto numer niniejszy zajmujemy umyślnie tą powieścią.

Wychowaniec.

Powieść z angielskiego

przez

Waltera Besant.

(Ciąg dalszy — patrz Nr. 25).

Klemens Indagine wstał z krzesła.

— Wyjdź pan — rzekł z królewską powagą. — Nie mam nic wspólnego z Samuelem Norbery, ani jego interesami.

— Jedno słówko, panie Indagine, a będziesz żałował swojej porywczości. Jesteś jego siostrzeńcem, wiem o tem, i jakkolwiek nie wystąpiłeś dotąd, jako prawy i jedyny sukcesor...

— Nie mam nic wspólnego z panem Norbery, powiedziałem to panu.

— Nie wiedziałeś pan może, iż chodzi tu o miljony! — zawołał, zapalając się nagle, pan Mayes. — Przez paru dniami dopiero znalazłem testament.

— Zechciej mię pan zrozumieć, panie Mayes; gdyby chodziło nawet o królestwo, nie wyciągnąłbym po nie ręki, ponieważ należało przedtem do Samuela Norbery. Nie chcę o nim nic wiedzieć, ani o jego pieniądzach. Nie jestem jego siostrzeńcem, nie mam nic wspólnego z człowiekiem, który zamordował mi ojca!

Wysilony, upadł na krzesło i otarł pot z czoła.

— Żegnam pana — rzekł chłodno, widząc, że gość nie odchodzi.

— Nie gniewaj się pan, proszę, zdaje mi się jednak, iż zapomniałeś w tej chwili, że masz córkę, Miss Altea Indagine...

— Nie wymawiaj pan imienia mej córki! — z dumą zawołał poeta.

— Lecz jakim prawem pozbawiasz ją pan majątku, skazując na nędzę, kiedy... Pozwól pan; przypuśćmy, że znaleziono testament, który ją mianuje dziedziczką tego królewskiego spadku, przypuśćmy.

— Panie Mayes — rzekł z godnością poeta, — powiedz mi krótko i jasno, czego jeszcze żądasz odemnie?

Lichwiarz zrozumiał nareszcie, iż z tym człowiekiem zwykła dyplomacja jest rzeczą bezużyteczną; czuł zresztą, że skończyć trzeba krótko.

— Znalazłem testament, na mocy którego córka pańska ma prawo do spadku — rzekł z niezwykłą u niego zwięzłością, — sądzę jednakże, iż tytułem wynagrodzenia za poszukiwanie i inne koszta prawne zechcesz mi pan zapewnić dziesiąty procent po załatwieniu sprawy.

Klemens Indagine uśmiechnął się z goryczą.

— Powiedziałem już panu, że nie wiem nic o tych pieniądzach, nie wiem i wiedzieć nie chcę ja, ani moja córka; nie licz więc na żadne procenta i zechciej mię zostawić w pokoju.

— Ależ to niedorzeczność!

— Panie!

— Nie gniewajmy się, panie Indagine — spokojnie. Spokój w interesach rzecz główna. Pozwól powiedzieć sobie jeszcze słówko. Nie jesteś młodym; jesteśmy śmiertelni; córka pańska może pozostać samą na świecie, sierotą, ubogą. Pan wiesz, co to ubóstwo. Może wyjść zamąż, prawda, lecz w takim razie będzie miała dzieci; zkąd wiedzieć możesz, panie Indaginie, że one kiedyś nie będą złorzeczyły twojej lekkomyślności, umierając z nędzy — twoje wnuki i córka twoja, panie?

— Moje wnuki, ani córka moja nie dotkną nigdy grosza oblanego łzami nieszczęśliwych. Z wiedzą i wolą moją nigdy! Dopóki ja żyję, nie pozwolę na to, a po mojej śmierci zrozumieją i uszanują mą wolę. Nigdy! Żegnam pana.

Odwrócił się i pochylił nad książką, która leżała przed nim rozłożona. Nie czytał zapewne, ale pan Mayes pojął, że audjencja skończona, powstał i ocierając pot z czoła, na palcach wyszedł do sieni. Tu westchnął głęboko i długu, kiwając głową, patrzył na drzwi zamknięte.

Na ulicy zatrzymał się znowu i namymyślał chwilę, nakoniec skierował swe kroki do laboratorjum.

Olivera zastał przy pracy. Zrażony niefortunną swoją dyplomacją przystąpił teraz do rzeczy otwarcie i prosto. Opowiedział rozmowę z poetą i skończył zapewnieniem, że testament i tajemnica znajdują się wyłącznie w jego posiadaniu.

— Szkoda — rzekł Oliver z uśmiechem, — że pan Norbery nie zapisał mi swego majątku bez żadnych warunków i zastrzeżeń. Wprawdzie jestem zaręczony z Alteą Indagine, ale to prosty przypadek, szczególny zbieg okoliczności.

— To już nie mój interes, to pański — zapewniał Mayes — ja życzę panu dobrze, lecz przedewszystkiem chodzi mi o siebie; dlatego też...

— Dziwna rzecz — zaczął Luttrel, nie patrząc na gościa, — że teraz dopiero znalezionym został tak ważny dokument. Czy jesteś pan tylko pewnym jego autentyczności?

Mówiąc to, przewracał na biurku papiery, jak gdyby czagoś poszukując, ręce mu drżały i bledszym był, niż zwykle, lecz łatwo to można było przypisać wzruszeniu wywołanemu tak pomyślną wieścią.

— Mogę przecież stwierdzić przysięgą mój podpis — odparł Józef Mayes stanowczo.

— Więc przypominasz pan sobie, żeś go podpisywał.

Krew uderzyła do głowy lichwiarza; czyż miał napisane na czole, że sobie tego przypomnieć nie może?

— Dlaczegożbym tego nie miał sobie przypomnieć? — rzekł szorstko.

— Zapewne, pytam tylko na wszelki wypadak, gdyby testament został zakwestjonowany. Lecz ponieważ możesz pan stwierdzić przysięgą swój podpis, a nie jesteś stroną interesowaną...

— Jednakże...

— Rozumiem, to już rzecz umowy, urzędownie występujesz pan tylko w charakterze niezależnego świadka.

— I tymczasowego opiekuna całego majątku.

— Tak jest; przewiduję, że z tego powodu będziesz pan miał dosyć kłopotu z załatwieniem wszelkich formalności.

— I koszta.

— Bezwątpienia, w każdym, jednak, razie z końcem bieżącego roku majątek staje się moją własnością.

— Przy mojej pomocy, panie Luttrel.

— Naturalnie.

— Dlatego też śmiem żądać zapewnienia, iż w chwili odebrania majątku przez pana otrzymam tytułem wynagrodzenia za poniesione koszta, trudy i czas stracony dziesiąty procent od całej sumy. Nie jest to wiele, panie Luttrel, a przy tem nie wymagam niczego naprzód. Z chwilą objęcia w posiadanie majątku, czy to pod własnem, czy też pod żony imieniem, stajesz się pan dopiero moim dłużnikiem.

— Zgoda — odparł Oliver po chwili namysłu, — niech będzie 10 procent; wyniesie to znaczną sumę, ale zważywszy wszystko... Nie wcześniej jednak, aż będę miał w ręku pieniądze, pojmujesz pan, jestem ubogi...

Pan Mayes uśmiechnął się jak człowiek, który wie i nie ukrywa swojej opinji o kieszeni dłużnika.

— Szczęśliwa to będzie chwila dla nas obydwóch — rzekł uprzejmie, rozpromieniony załatwieniem tej ważnej sprawy. — Czy dzień ślubu już oznaczony?

— Nie jeszcze, lecz sądzę, że nastąpi to za parę miesięcy. Nie mamy potrzeby czekać, ale dziewczęta bywają niekiedy kapryśne. Nie chcą nalegać.

— Zapewne, zapewne; w każdym razie nie minie to pana, trochę cierpliwości potrzebne jest w życiu. Możemy sobie, jednak, powinszować, będziesz pan bogatym człowiekiem, a ja, który pomagałem staremu do gromadzenia tych skarbów, słusznie, że także cząstkę z nich otrzymam.

— Bardzo słusznie, panie Mayes, tymczasem jednak, jak na przyszłego bogacza jestem rozpaczliwie biedny, czybyś więc nie zechciał na podstawie tego dziedzictwa otworzyć mi u siebie kredytu?

— Z całego serca, kochany panie Luttrel, prawdziwie jestem szczęśliwy. Ma się rozumieć na dotychczasowych warunkach. Ile pan żądasz?

— Sto funtów, dwieście, jeśli się pan zgadzasz — mówił Oliver, patrząc w twarz lichwiarza.

— Kochany panie Luttrel — rzekł Mayes, ochłonąwszy nieco z pierwszego wrażenia, — nie mam tyle pieniędzy u siebie, ale dla pana postaram się je dostać; przyjdź pan dziś wieczorem, aby podpisać weksel i umowę.

— Henryku — rzekł Oliver tegoż dnia koło północy do brata, — czy tylko pewnym jesteś bezpieczeństwa?

Brat przyszłego Krezusa uśmiechnął się, pokazując białe i ostre zęby.

— Spij spokojnie, mój drogi — odparł wesoło, — a tym czasem pożyczaj, ile możesz. Żałuję tylko, żeśmy do tego wmięszali tę dziewczynę. Dość było twego imienia. A zresztą — nie znajdzie przecież męża w ciągu tych paru miesięcy. Zerwie z tobą, tem lepiej, pozbędziemy się odrazu kłopotu. Tak, mój chłopcze, piękna przyszłość otwiera się przed nami.

V.
K l a u d j a.

Klemens Indagine powrócił do świata. Wsparty na ramieniu córki, pewnego pięknego poranku wybrał się na wędrówkę do nowszych dzielnic Londynu, w ulice znane mu niegdyś do miejsc uczęszczanych przed laty trzydziestu przez poetów i literatów.

Altea dumną była z tego zwycięztwa nad obawą i nieśmiałością, której długo pokonać nie mogła, pomimo, iż oboje spragnieni byli wrażeń. Poeta upierał się czekać na powrót Laurentego, chociażby drugie lat 30, ponieważ miał jego słowo, że pójdą razem zwiedzić świat stary i nowy.

Ale Laurenty nie wracał i Altea z miłością dziecięcą starała się go zastąpić. Dumną też była, kiedy dnia jednego wyszli nakoniec oboje w odświętnych sukniach na przechadzkę i minąwszy znane ulice i Tower, wstąpili w nową, obcą jej część Londynu.

Poeta miał na sobie aksamitną kurtkę i miękki czarny kapelusz na głowie. Długie, białe, lekko wijące się włosy spadały mu na ramiona. Była to postać szlachetna i uderzająca. Obok Altea, w jasnej letniej sukience i dużym słomkowym kapeluszu, wyglądała, jak wcielenie wdzięku.

W ubogich niskich uliczkach, zapełnionych pracowitą ludnością, nie zwracano na nich uwagi, lecz gdy znaleźli się pośród właściwego miasta, oglądano się za nimi z uśmiechem. Tutaj wyglądali istotnie na mieszkańców głębokiej prowincji, pierwszy raz w życiu przybyłych do stolicy. Malarz zachwyciłby się nimi, przechodnie oglądali się tylko.

W taki sposób zwiedzali znane niegdyś poecie ulice, pełne dla niego wspomnień, dziwiąc się każdej zmianie i nowości. Od czasu do czasu zatrzymywali się na trotuarze, a Klemens Indagine objaśniał córce powstanie, lub przeznaczenie ważniejszych budynków. Ludzie ustępowali im z drogi uprzejmie, mierząc ich często ciekawem, ale życzliwem spojrzeniem.

— Poeta — szepnął ktoś z przechodzących.

Klemens drgnął i mocniej przycisnął rękę do córki.

— Jesteśmy poznani — szepną drżącym głosem.

Z przeciwnej strony ulicy wskazywano ich sobie.

— Założyłbym się, że poeta — odezwał odezwał się głos jakiś.

Ojciec i córka pospieszali naprzód, przejęci żywem wzruszeniem; lekki rumieniec wystąpił na bladą twarz starca, Altea promieniała szczęściem.

Wstąpili do jednego z ogródków, gdzie przed trzydziestu laty zbierali się koledzy i przyjaciele poety, wielcy ludzie, których imiona z dumą wymawiali rodacy. Przy jednym ze stolików siedziała grupa mężczyzn, popijając wino i rozmawiając wesoło. Wejście oryginalnej tej pary zwróciło ich uwagę; umilkli i patrzyli ciekawie na starca w aksamitnej kurtce z długimi białymi włosami i dziewczę świeże, jak wiosna, ktore prowadził pod rękę.

— Poeta — szepnął któryś z siedzących.

Klemens Indagine zdjął kapelusz, wiatr lekko powiewał jego siwemi włosami.

— Poeta wam dziękuje, panowie rodacy — rzekł, kłaniając im się z powagą.

Powstali zdziwieni, oddając mu ukłon nawzajem, lecz on pospiesznie wyszedł na ulicę, zmierzając już ku domowi.

— Poeta! — krzyknął, przebiegając chłopiec z książkami pod pachą; — poeta — uśmiechnęła się młoda dziewczyna z rozmarzonym wzrokiem. — Te głosy, jak mocne wino odurzały naszych podróżnych, z tryumfem powracających z tej pełnej chwały wycieczki. Oboje pojąć nie mogli, jakim sposobem zostali tak jednozgodnie poznani, a z drugiej strony wątpić nie było podobna.

Po powrocie do domu, poeta natychmiast zamknął się w swojej pracowni, aby korzystać z natchnienia, które z niezwykłą potęgą przemówiło dziś w jego duszy. Altea pozostała samą rozmarzona także, i wzruszona głęboko siedziała przy otwartym oknie.

Drzwi otworzyły się cicho i do pokoju weszła niewielkiego wzrostu, czarno ubrana kobieta. Jej materjalna suknia była dziwacznego kroju, szeroka i fałdzista, twarz osłonięta długim, czarnym welonem, na szyji złoty łańcuch i złoty krzyż na piersi.

— Jestem Klaudja Lawerock — rzekła, zbliżając się do dziewczęcia.

— Ciotka Klaudja! — zawołała zdziwiona Altea, zrywając się z miejsca.

Prorokini uśmiechnęła się życzliwie.

— Możesz nazywać mnie ciotką, siostrą, albo matką — odezwała się niskim, sympatycznym głosem, — w każdym razie jestem twoją przyjaciółką, choć widzę cię po raz pierwszy w życiu. Słyszałam o tobie dużo od Feliksa i Flavii, którą widuję co tydzień w kaplicy, lecz ważny musiał być powód, który mię skłonił do przyjścia aż tutaj, gdyż żyję w odosobnieniu i z domu wychodzę bardzo rzadko.

— Czy zrobiłaś to pani dla mnie? — nieśmiało spytała Altea.

— Dla ciebie? — tak, po części, dla mego syna także i dla rodziny mojej. Przyszłam cię ostrzedz i ocalić, abyś nie cierpiała wraz z tymi, którzy zasłużyli na karę. Pragnęłam odsunąć od ciebie ten kielich goryczy.

— Nie rozumiem cię, pani — rzekła Altea, drżąc lekko i patrząc na gościa niespokojnym wzrokiem.

— Czy możesz mi zaufać, moje dziecię? — mówiła dalej prorokini. — Czy zechcesz odpowiedzieć mi szczerze na kilka zapytań?

— Nie jesteś pani obcą dla mnie — odparła spokojnie Altea, — tak wiele słyszałam o tobie od Kasi i Flavii. A przytem nie mam tajemnic.

— A więc czy to prawda, iż zaręczoną jesteś z młodym człowiekiem, nazwiskiem Oliver Luttrel?

— Nie — odparła Altea, rumieniąc się mimowolnie. — Nie jestem z nim zaręczoną.

— Nie jesteś?... Dlaczegoż pan Waller zapewniał Kasię, że...

— Pan Waller się mylił.

— A czy wiesz, moje drogie dziecię, że z tego powodu ten młody człowiek opuścił Bank-Side?

— Domyślam się tego — szczerze szepnęła dziewczyna.

— Oliver Luttrel jednak wczoraj jeszcze mówił Flavii, iż zostaniesz jego żoną w ciągu paru miesięcy.

— Nigdy — stanowczo zaprzeczyła Altea.

— Zastanów się dobrze, moje dziecię, nim dasz mi stanowczą odpowiedź. Może cię skłonić do tego uległość dla woli ojca, chęć zabezpieczenia sobie przyszłości, przywiązanie zresztą i przyzwyczajenie lat tylu.

— Oliver jest dla mnie bratem, znam go od dziecka i nie może mi być obojętnym ale nigdy nie będzie moim mężem.

— Chwała Najwyższemu! — zawołała, głęboko wzdychając, prorokini — Ciężkie moje zadanie zostało mi ułatwionem. mogę je spełnić, nie raniąc ci serca.

— Nie rozumiem pani — powtórnie szepnęła Altea.

Klaudja tymczasem z uśmiechem patrzyła na portret poety, wiszący na ścianie przeciwległej.

— Pamiętam go — szepnęła, — Klemens Indagine; pamiętam i stryja twego Eneasza, który uciekł, aby nie skończyć, jak ojciec w więzieniu. Pamiętam!

Zdawało się, że przeszłość otoczyła ją nagle i pochłonęła zupełnie. Szeptała do siebie półgłosem, powtarzając imiona nieznane Altei, ubolewając i uśmiechając się na przemiany:

— Pan Norbery, Lucja, Flora, biedna Flora! Pan Waller.

Altea nie śmiała przerwać jej tych rozmyślań i patrząc na jej twarz ożywioną i płonące oczy, porównywała ją mimowolnie do sztywnej i poważnej Kornelji. Podobieństwo było pomiędzy niemi uderzające, ale jakaż różnica!

— Posłuchaj mię, dziewczę — rzekła wreszcie, podnosząc się z miejsca, — lepiej abyś o tem wiedziała. Oliver Luttrel nie zasługuje na ufność twą, ani przywiązanie. Jest człowiekiem nikczemnym i bez serca, unieszczęśliwił Kasię i Feliks tego nigdy mu nie przebaczy. Feliks, który kocha ją od lat tylu.

— To nieprawda! — zawołała Altea, — sama pytałam się Kasi.

— Moje dziecię, w tych rzeczach dziewczęta bywają dumne. Kasia zaprzecza, ale on szydzi z jej łez i rozpaczy. Mówił o tem z Flavią otwarcie, gdy poszła do niego upomnieć się o siostrę. Feliks chciał mu dać poznać siłę swojej pięści, lecz znaleźliśmy dla niego sprawiedliwszą karę.

— Czy nie lepiej przebaczyć mu i zapomnieć? — nieśmiało spytała Altea.

— Nie, musi zostać upokorzonym i osądzonym publicznie, by z oczu Kasi spadła nakoniec zasłona, która jej nie pozwala ocenić go należycie. On musi być potępionym, by nowa miłość mogła zakwitnąć w jej sercu. Feliks, mój syn, zasługuje też na trochę szczęścia, jestem matką. Pozostaw to mnie, Alteo. Własne czyny obrócą się przeciw niemu, schwyta się we własne sidła, jak na to zasłużył. To moja sprawa!

Prorokini uniosła się na chwilę pod wpływem macierzyńskiego uczucia, lecz zapanowała nad sobą.

— Przyjdź kiedy do mnie — rzekła do Altei, podając jej rękę na pożegnanie, — zrana jestem zawsze sama. Widziałam pana Waller, był u mnie w kaplicy z Flavią. Odjechał wprawdzie, lecz może powrócić.

— Nie mówmy o tem — błagalnie szepnęła Altea.

— Powróci — powtórzyła z uśmiechem uparta kobieta, — powróci zapewne niedługo. Czy życzysz sobie tego, moje dziecię? Czybyś chciała?

Przemawiała tak słodko i silnie zarazem, że dziewczę, ulegając cudownej potędze tych słów pocieszających, zarzuciło jej ręce na szyję i przytuliło głowę do piersi małej kobietki. Gdy ją podniosła, łzy dwie świeciły w jej oczach.

Prorokini pożegnała ją pocałunkiem; pod wpływem uczuć rodzinnych zapomniała o swojej godności, mimo to, jednak, pozostawiła za sobą serce uszczęśliwione, pełne wdzięczności i miłości Boga i ludzi. Skinęła i smutek pierzchnął z bladego czoła dziewczęcia, a róże zakwitły znowu na drodze jej życia.

Niewątpliwie była wieszczką, cudowną; dobrą wróżką, niosącą radość i słodkie zadowolenie.

VI.

Pomyślny wiatr.

— Dzieci, — mówił Lucyusz Cottle, stojąc na środku znanego nam już pokoju, z prawą ręką włożoną za kamizelkę, lewą opartą o stół. — Dzieci — powtórzył w tej postawie mówcy, zwracającego się do publiczności, — czasy zmieniły się bardzo, zasługi i praca przestały być oceniane, ludzie nie pojmują już własnej godności, nie umieją cenić jej u drugich. Epoka upadku moralnego, jaki poprzedza zazwyczaj ważne przewroty polityczne.

Odetchnął i spojrzał dokoła. Kasia ze spuszczoną głową siedziała przy oknie w postawie wyrażajacej zwątpienie, lecz w dumnem i spokojnem spojrzeniu Flavii nie było nawet współczucia.

— Mędrcy orzekli oddawna—rzekł znowu tym samym tonem — iż żadna praca nie hańbi i nie poniża człowieka. Jestem zwolennikiem tej wzniosłej zasady, a ponieważ w chwili obecnej nie mogę odpowiednio zużytkować umysłowych zdolności, postanowiłem korzystać tymczasem z sił fizycznych. Sądzę, iż silny tragarz zarobić może dziennie półkorony; nad rzeką nie braknie zajęcia, ładowne barki czekają rąk pracowitych. Moje są zdrowe i spragnione trudu.

Semproniusz podniósł oczy z nad książki i tłumiąc wybuch śmiechu, uważnie spojrzał na ojca. W istocie trudno potępiać za tę niewczesną wesołość szesnastoletniego wyrostka. Lucyusz Cottle, szczupły i średniego wzrostu, z twarzą namaszczoną i uroczystą, w obcisłym czarnym garniturze, decydujący się zająć stanowisko tragarza!

— Głód jest prawem natury — zaczął filozof nanowo, — lecz pożywienie zdobyć trzeba pracą (zasada społeczna.) Praca musi być uczciwą (prawo moralne). Każda więc uczciwa praca godną jest szacunku. Wahać się dłużej niepodobna.

Kasia westchnęła ciężko i niżej spuściła głowę, lecz Flavia spojrzała na niebo, potem na ulicę i uśmiechnęła się dziwnie. Słońce chyliło się ku zachodowi, na ulicy było pusto i cicho.

— Śniły mi się dzisiaj dzwony — odezwała się nagle Kornelia, — to znaczy wesoła nowina.

W tej chwili oddalony turkot powozu dał się słyszeć wyraźnie i wszyscy spojrzeli na siebie zdziwieni: powóz na Bank-Side jest zjawiskiem niemal historycznem.

Turkot zbliżał się bezustannie i wszystkie głowy ciekawie zwróciły się ku oknu. Za chwilę można było rozróżnić dorożkę i siedzącego w niej z twarzą rozpromienioną Laurentego Waller.

— Chwała Bogu! — zawołała Flavia, podnosząc się z miejsca i śpiesząc naprzeciw gościa. — Teraz już wszystko dobrze!

Stał już wśród nich w pokoju, ściskając wyciągnięte ręce, słuchając uroczystej przemowy Lucyusza i ciągnąc ucho Semproniusza, by go na chwilę oderwać od książki. Twarz miał radosną, a oczy śmiejące i jasne; widać było, iż czuł się pomiędzy swymi, że wiedział, poco przybył i co uczynić zamierza.

Nagle myśl trwożna przeszyła serce Flavii niepokojem bolesnym.

— Nie przyjechałeś pan przecież, aby pożegnać się z nami? — spytała pełna obawy.

— O, nie — zaśmiał się głośno Laurenty — jeżeli będę mógł znowu zająć gościnny pokój!

Spojrzał na ciotkę Kornelią, lecz nawet i na tej martwej twarzy jaśniał uprzejmy i życzliwy uśmiech.

— Tęskniłem za Bank-Side — rzekł szczerze. — Byłem tu i owdzie, lecz myśli zawsze powracały tutaj.

— Naturalnie — uśmiechnęła się Flavia.

— Nie dokończyłem tego, com rozpoczął, nie godzi się pracy zaczętej porzucać w połowie — rzekł, kłaniając się wymownie Lucyuszowi Cottle.

Semproniusz zaśmiał się znowu, Kasia z przerażeniem prawie spojrzała na gościa: nie szydził przecież z jej ojca?

— Pójdźmy na wybrzeże — skinął swobodnie na dziewczęta — popatrzymy trochę na rzekę.

Za chwilę wszyscy troje znaleźli się na znanej ławeczce.

— Czy pamiętasz, Kasiu, że tutaj spotkaliśmy się po raz pierwszy — rzekł, patrząc na nią serdecznie.

Dziewczę uśmiechnęło się smutnie.

— Tutaj widziałem cię tez raz ostatni. O, byłem wtedy bardzo nieszczęśliwy!

Śmiał się, a Kasia patrzyła na niego zdziwiona.

— Czy wiesz, że to nie prawda? — zapytał.

— Co takiego?

— Altea nie jest zaręczoną.

— Co? — powtórzyła Flavia. — Sam mówił przecież....

— Niech mówi, co mu się podoba, Altea jest wolną, a ja omyliłem się wtedy.

— Ale zkądże wiesz pan o tem dzisiaj?

— Pomyślny wietrzyk przyniosł mi tę wieść pożądaną — odparł żartobliwie,—i....

— I powróciłeś pan do nas — poważnie dokończyła Flavia.

— Przypomnij sobie, bracie, com ci powiedziała — rzekła Kornelia, po odejściu dziewcząt. — Nie wierz tym wszystkim bajkom o Dawidzie Waller. — Powtarzam, że to syn Lucyi. — Nie pojmuję wprawdzie, zkąd bierze pieniądze, przypuszczam jednak, iż przyszedł do nich uczciwie.

— Ależ, Kornelio...

— Syn Lucyi, ostrzegam cię bracie. Nie wiem, co znaczy cała ta maskarada, ale wyjaśnię to teraz, skoro powrócił. Gotowam przebaczyć jego matce, muszę, jednak, wiedzieć poprzednio, z czem go do nas przysłała. Syn Lucyi, jej głos, śmiech, oczy, — o, nie mylę się na pewno! Rodzony syn Lucyi!

I znów w gościnnym pokoju na górze, w świętym przybytku wiedzy, późnym wieczorem siedział przy stole młodzieniec, paląc cygaro i po raz dziesiąty odczytując list otrzymany tego samego dnia zrana.

«Kochany mój siostrzeńcze!»

«Wiem kto jesteś i przedemną ukrywać się dłużej nie możesz. Poznałem głos i oczy twojej matki, pamiętałam, zresztą, dobrze jej nazwisko i tę okoliczność, że wraz z mężem przed laty wyemigrowała do Australji.

»Obecnie wracam się do ciebie, uważając to za obowiązek względem mojej rodziny. Chodzi mi także o szczęście syna mojego Feliksa. Jesteś bogatym i życzysz nam dobrze, to pocóż byś między nas wracał? — możesz być pożytecznym, — chcę wskazać ci drogę do tego. Przedewszystkiem, jednak, muszę cię zawiadomić, że osoba, o którą ci chodzi, nie została wcale zaręczoną. Jest wolną i od ciebie tylko zależy, byś jej nie stracił raz drugi. Omyliłeś się, sądząc zbyt pośpiesznie, bądźże ostrożniejszym na przyszłość.

»Raz więc powtarzam ci jeszcze: Altea Indagine jest wolną, nigdy zaręczoną nie była i prawdopodobnie mile powita twój powrót, któremu tym sposobem nic na przeszkodzie nie stoi.

«Śpiesz się śmiało na ratunek rodziny twojej, młodzieńcze, gdyż czekają cię smutne wieści. Lucyusz utracił miejsce i Kasia także, — żyją obecnie ze skromnych dochodów Kornelii i Flawii, które nie wystarczą na długo. Prócz tego Kasia potrzebuje moralnej pomocy i pociechy, — potrafiłeś pozyskać jej przyjaźń, stańże przy niej w godzinę bolesnego rozczarowania, jakie ją czeka wkrótce: niegodny człowiek, który tyle złego wniósł w ciche życie naszej uczciwej rodziny, musi być ukaranym i ukaranym zostanie. Ale lekarstwo bywa niekiedy bolesnem, choć błogie skutki przynosi; Kasia potrzebować będzie ręki przyjaciela, by wesprzeć się na niej w ciężkiej chwili.

»Żegnam się, mój siostrzeńcze, nie wiem, czy kiedy spotkamy się w życiu, przyjmij tę jednę odemnie naukę: Miłość jest początkiem wszystkiego, — ona jednoczy i stwarza, ona jest źródłem dobra i szczęścia

na ziemi, miłość — to Bóg! — Kochajcież się więc wszyscy i wspierajcie wzajem, a szatan, pierwiastek złego, które jest brakiem miłości jedynie, nie znajdzie miejsca na ziemi. Kościół nasz — to społeczeństwo, zjednoczone wzajemną miłością.

„Bądź szczęśliwy i kochaj swych bliźnich.

Twoja ciotka

Klaudya.»

— Miłość — to szczęście, — miłość — to Bóg! — powtarzał młodzieniec w błogiem rozmarzeniu. — Altea jest wolną i nigdy zaręczoną nie była, — jak mogłem się tak omylić!

Spojrzał na niebo gwiaździste, na znane mu dzisiaj wybrzeże, rzekę, na której ujrzał ją poraz pierwszy w purpurowych blaskach zachodu, i dla tego stał, tonąc w uroczystej ciszy, słuchając głośnych uderzeń własnego serca, bijącego radosnem wzruszeniem.

Jutro!

VII.

Dzień szczęścia.

— Alteo, dziecię moje, chodź prędzej!— zawołał Klemens Indagine, powstając z miej sca, aby uścisnąć ręce niespodziewanego gościa. — Powróciłeś więc do nas, drogi przyjacielu! — mówił ze szczerą radością. — Myślałem, żeś nas porzucił.

Altea ukazała się w progu zmieszana, ze spuszczonemi oczyma i w milczeniu podała rękę gościowi. Lecz on słów nie wymagał, patrzył na jej rumieńce, na wzruszenie źle ukrywane i był zupełnie szczęśliwym.

— Musiałem powrócić, — rzekł wesoło, — źle mi było zdaleka.

— I nam źle było bez ciebie, drogi przyjacielu; uwierzyć nie mogłem, żeś nas tak nagle porzucił, a Altea martwiła się ze względu na mnie, zmizerniała nawet, biedaczka.

— Ojcze! — szepnęła błagalnie Altea.

Starzec uśmiechnął się do niej z miłością.

— Zamknąłeś naszą przeszłość, panie Waller — mówił poeta dalej, — nie mogliśmy do niej powrócić, — szukaliśmy też drogi do świata, który przyjął nas lepiej, niż mogliśmy się nawet spodziewać. Było to prawdziwem tryumfem, panie Waller, i tobie zawdzięczam ten błogi dzień w mojem życiu.

— Jakto? — zapytał Laurenty zdziwiony. — Jakże to było?

— Poznano mię! Po latach trzydziestu oddano mi hołd publiczny. Masz słuszność, panie Wallner, dzieła moje w tym czasie przeniknęły widocznie do serca narodu.

Laurenty pytająco spojrzał na Alteę;— dziewczę w krótkich wyrazach opowiedziało mu owę pamiętną wycieczkę. Młodzieniec patrzył na nią zadziwiony. Nagle zaśmiał się głośno i znów stał się poważnym. Na ustach jego igrał stłumiony śmiech, lecz oczy patrzyły pogodnie i dobrotliwie.

— Zostaniesz ze mną dziś rano — rzekł poeta; — tak wiele mam ci do powiedzenia. Nowy tom już prawie ukończony, muszę tylko jeszcze zasięgnąć twojej rady, co do niektórych ustępów.

Laurenty wzrok błagalny zwrócił na Alteę.

— Miałem zamiar przejechać się zrana po rzece, — odezwał się nieśmiało.

— Kasia przyrzekła dziś pojechać ze mną, panu zostawię ojca, — odparło dziewczę spokojnie. — Potrzebuje z tobą pomówić, tak długo tęsknił za twem towarzystwem, będzie mi przyjemnie myśleć, że jesteście nakoniec razem. Do widzenia, ojczulku, zastanę tu jeszcze pana, panie Waller, nieprawdaż?

Uśmiechnęła się i zniknęła, jak złote słońce za chmurą, — w pokoju pociemniało nagle. Poeta wyjął rękopism, Laurenty usiadł pod oknem, przybierając pozę do godną do uważnego słuchania. Z doświadczenia już wiedział, iż są to dla niego chwile zupełnej swobody myśli, należało, jednak, wybrać dobrą pozycją.

Gdy w parę godzin potem Altea wracała do pokoju, zastała go jeszcze siedzącym w krześle, z głową opartą na ręku i spuszczonymi oczyma. Nie słyszał jej wejścia i głos dopiero dziewczęcia zbudził go z zamyślenia.

Zerwał się na równe nogi.

— Nie żądaj pan odemnie krytyki — rzekł ze szczerą prośbą w głosie, — nie jestem dziś do niej zdolny. Czułem się tak szczęśliwym!

Poeta uśmiechnął się pobłażliwie, a Altea prosiła panów, by raczyli zejść na śniadanie.

Skromne potrawy zastawione były na stole, trochę zimnego mięsa, masło, chleb świeży, owoce. herbata i piwo stanowiły całą zastawę, — a jednak widać było z każdego drobiazgu, jak uroczystym było to śnaidanie. Mówiły o tem śnieżnej białości serweta, kwiaty, krzyształowe kubki, zabytki lepszych czasów, niecodzień pewno używane.

Kasia w ciemnej sukience, blada i mi zerna, siedziała cichutko, jak mniszka, ale Altea w błękitnym perkaliku z białą koronką u szyi wyglądała, jak bogini szczęścia i ojciec nawet zwrócił uwagę na jej świeże rumieńce i wzrok rozpromieniony.

— Brakuje nam tylko Olivera — odezwał się doktor, który nadszedł także, — byliśmy wszyscy w komplecie.

Altea oblała się ciemnym rumieńcem, Kasia spuściła oczy, poeta nawet, który przypomniał sobie słowa córki, zmieszał się trochę i doktor spostrzegł ze zdziwieniem, że jego uwaga wypadła jakoś nie w porę.

Wszyscy starali się odzyskać spokój lecz dotychczasowa swoboda przepadła i reszta śniadania upłynęła w dziwnym nastroju.

— Teraz — rzekła nakoniec Altea, powstając od stołu, — jesteśmy z Kasią na rozkazy pańskie, możesz spełnić swoję obietnicę panie Waller i zawieźć nas do Londynu.

Był to dla całej trójki prawdziwy dzień szczęścia; Kasia nawet na chwilę zapomnia ła o swojem zmartwieniu, podziwiając wspaniałe ulice, pałace, kościoły, pomniki i wystawy sklepowe. Obie dziewczęta były istotnie olśnione, Altea zwłaszcza, która dotąd nigdy nie opuszczała ubogiej dzielnicy. Zdawało się jej, iż jest w zaczarowanym pałacu, że świat zmienił się nagle, ukazując jej cuda nieznane, nieprzeczuwane nawet

Laurenty bawił się jej naiwnością, jej dziecinnym, bezkrytycznym zachwytem, i największą znajdował przyjemność, wzbudzając wciąż nowy podziw, nowe okrzyki zdumienia, patrząc w szeroko otwarte oczy dziewczęcia, promieniejące złotawym połyskiem.

By im dostarczyć sposobności obejrzenia tysiąca drobiazgów, wchodził z niemi do sklepów i kupował różne przedmioty, pozostawiając adres, gdzie je odesłać miano. U jubilera kupił piękny zegarek ze złotym łańcuszkiem i na pamiątkę dnia tego zawiesił go na szyi Kasi. Dziewczę spłonęło, jak róża i dziękowało mu smutnym uśmiechem.

— Przed miesiącem ten podarunek uczyniłby mnie szczęśliwą — rzekła.

Objad zjedli w pierwszorzędnej restauracji, złożony z dań i przysmaków, jakich obiedwie nigdy w życiu nie widziały. Ztamtąd wspaniały powóz zawiózł je do teatru.

Kiedy o jedenastej wieczorem wracali do domu, obie dziewczęta były upojone, nawał nowych wrażeń oddziałał na nie. jak wino, szumiało im w głowie, obrazy barwne, jak w kalejdoskopie przesuwały się przed oczyma.

Kasia pierwsza po drodze pożegnała ich cichem uściśnieniem ręki; Altea mieszkała kilka kroków dalej.

— Czy jesteś pani zadowoloną z dnia dzisiejszego? — zapytał, przytrzymując jej rękę przed progiem.

— O, tak — odparła szczerze, — je n z najpiękniejszych dni, jakie przeżyłam,

— Alteo — szepnął nagle, — powiedz sama, że nie jesteś zaręczoną z Oliveem Luttrel!

— Nie, och, nie! — zawołała i wyrwawszy mu rękę, zniknęła nagle, jak widmo, nie powiedziawszy nawet: dobrej nocy.

— Bywają dni w życiu, których nigdy zapomnieć nie można, — rzekł Laurenty nazajutrz do Kasi, którą zastał w jadalnym pokoju, kiedy zszedł na śniadanie. — Wczorajszy do takich należy.

Dziewczę siedziało przy stoliku zastawionym mnóstwem wykwintnych drobiazgów, które przysłano ze sklepów. Laurenty uśmiechnął się, widząc jej zakłopotanie.

— Podziel to na trzy części, siostrzyczko -- rzekł miękko, — sama wybierz według swojej myśli, co ma być dla Flavii, a co dla Altei.

Ona spojrzała nań smutnie.

— Oddam im wszystko — rzekła; — cóż mi teraz po tych drobiazgach?

— Kasiu, — odparł młodzieniec poważnie, — powinnaś być mężną i rozsądną. Przekonałaś się wczoraj, że świat jest piękniejszy i szerszy, niż myślałaś dotąd, że ma nieznane ci jeszcze powaby i przyjemności, niebrak na nim także młodych ludzi, którzy...

— O, pan nie wiesz, pan tego rozumieć nie możesz! — zawołała z boleścią w głosie.

— Rozumiem, żeś powinna odrzucić z serca uczucie dla człowieka, którego szanować nie możesz, żeś go powinna zapomnieć i na Bożym świecie szukać nowych źródeł radości i szczęścia.

— Zapomnieć! — powtórzyła z cicha.— Chciałabym odjechać ztąd gdzieś daleko bardzo, nie widzieć tych miejsc i tych ludzi, nie słyszeć o nim więcej od nikogo. Czy zapomniałabym wtedy?...

— Chcesz ztąd odjechać, Kasiu?

Ona spojrzała na niego zdziwiona.

— Gdzieżbym pojechała? — rzekła. — I jakżebym mogła zostawić tu Alteę, wszystkich...

— Odwagi i cierpliwości, siostrzyczko, odwagi i cierpliwości. Miejmy nadzieję, że wszystko skończy się pomyślnie.

Ponieważ zawcześnie jeszcze było na wizytę, poszedł tymczasem błądzić po przedmieściu, szukając ulic, które zwiedzał z Alteą. Napis na drzwiach starego domu zwrócił jego uwagę: »Józef Mayes, następca S.

Norbery«. Przypomniał sobie, że miał wstąpić tutaj, aby się dowiedzieć, czy nic nie odkryto nowego, i zapukał do drzwi.

Pan Mayes siedział na zwykłem swojem miejscu; spostrzegłszy wchodzącego, skrzywił się nieznacznie.

— Poznaję pana — rzekł pierwszy, — przyjechałeś tutaj z Australji. Czem mogę panu dziś służyć?

— Przyszedłem się tylko zapytać, jak stoją pańskie poszukiwania testamentu Samuela Norbery, napisanego przed laty 30.

— Przed laty 9. poprawił Mayes z naciskiem.

— Przed trzydziestu, — powtórzył Laurenty.

Lichwiarz podniósł się z miejsca, czerwony, z iskrzącym wzrokiem.

— Przed dziewięciu! — zawołał z gniewem. — Co pan możesz wiedzieć o tem i w jakim celu mię pytasz?

— Chcę wiedzieć, czyś pan co znalazł.

— Choćby i tak było, to należy do mnie wyłącznie. Nie mam obowiązku wtajemniczać obcych w moje interesa, jeżeli więc nie masz mi pan nic więcej do powiedzenia.

— Zupełnie nic, panie Mayes.

— W takim razie czas mój jest drogi. Czas to pieniądz, panie. Tracić go darmo nie mogę.

— Nie żądam tego, panie Mayes — do zobaczenia jeszcze.

Wrócił do swego pokoju, usiadł i zaczął pisać list do matki.

VIII.

Narzeczeni.

Wieczorem dnia tego postanowił udać się do Klaudyi. Widział ją w chwili natchnienia w kaplicy, list odebrany świadczył o żywem z jej strony uczuciu miłości rodzinnej, była jego ciotką: — zapragnął poznać ją bliżej.

Klaudya Laverock mieszkała w pobliżu kaplicy, w małym domku, pomiędzy ubogą ludnością, niestanowiącą, bynajmniej, godnego dla niej otoczenia. Nie było, jednak, na to żadnego sposobu, gmina jej była bardzo niezamożną i nie mogła z większym komfortem utrzymać swej prorokini. Klaudya nigdy nie wychodziła z domu, lecz od wiedzających ją przyjmowała chętnie i umiała wobec nich zawsze pozostać na niedostępnem swojem stanowisku.

Młoda, czyściutko ubrana, w białym czepeczku dziewczyna otworzyła drzwi Laurentemu. Była to służąca, należąca do stowarzyszenia, która z głębokiem pojęciem i poszanowaniem pełniła zaszczytne swoje obowiązki.

— Pan Waller? — rzekła do niego z powagą. — Siostra Klaudya spodziewała się pana. Jest w swoim pokoju.

Zamknęła drzwi bez szelestu i wskazała mu drogę drogę do sąsiedniego pokoju. Uroczysta cisza panowała w tem małem mieszkaniu, gruby chodnik, zaścielający podłogę, tłumił odgłos kroków, przysłonięte okna i lampa z zielonym kloszem, rozlewająca dokoła dziwne, tajemnicze światło, sprawiały na pierwszy rzut oka jakieś niezwykłe wrażenie.

Służąca otworzyła drzwi przed nim, gdy minęli wązki korytarz i Laurenty znalazł się nagle w pokoju, a raczej cieplarni, zapełnionej mnóstwem zielonych i kwitnących roślin. Kwiaty stały na oknach, w wazonach na stole, na etażerkach, zwieszały się w drucianych koszach od sufitu, rozlewając odurzający, rozkoszny aromat. Na kominku płonął duży ogień i temperatura w tym dziwnym przybytku była niezwykle wysoką. Zresztą zapełniały go sprzęty proste: stół, sowa, kilka krzeseł i parę foteli. Na stole leżała otwarta biblioteka; siostra Klaudy siedziała przed ogniem.

Wśród członków stowarzyszenia istniało przekonanie, że sama obecność natchnionej tej kobiety wywiera na otaczająch nie zwykłe wrażenie. Wielu utrzymywało, iż nie jest w stanie rozmawiać z nią w jej pokoju, — doznawali zawrotu głowy, złudzeń akustycznych i oddalali się od niej przejęci zdumieniem, nie umiejąc sobie wytłómaczyć własnego stanu.

Laurenty nie zdziwił się temu bynajmniej, znalazłszy się nagle w przesyconej wonią kwiatów atmosferze, dusznej i upajającej. Spojrzenie, głos, śmiech, dotknięcie ręki małej kobietki, która podniosła się z pod kominka na jego powitanie, wszystko to w sposób niezwykły oddziaływało mu tutaj na nerwy. Stracił poczucie realnej rzeczywistości, zdawało mu się, iż jest pogrążony we śnie.

— Wiedziałam, że przyjdziesz dzisiaj — rzekła Klaudya. — Feliks powiedział mi, iż powróciłeś; pierwszy wieczór naturalnie dla nich, lecz drugi, pewną byłam, że dla mnie poświęcisz. Siadaj, proszę; trochę tu gorąco, ale można przywyknąć do tego. Lubię ciepło i zapach kwiatów.

Laurenty usiadł, czując zawrót głowy, chwilę wszystko krążyło dokoła niego, lecz szklanka czystej wody i głos uprzejmej gosposi wkrótce przywróciły go do przytomności.

— Pozwól mi nazywać cię Laurentym — rzekła, — poznałam cię odrazu w kaplicy; podobny jesteś do Lucyi prawdziwie, jak syn rodzony, choć oczy twoje więcej przypominają mi Florę. Wzrost tylko musiałeś wziąść po ojcu, — w naszej rodzinie kobiety wszystkie są małe. Jakże się Lucya miewa i, co porabia od lat tylu, jakeśmy ją stracili z oczu?

— Jest zdrowa i szczęśliwa, ojcu się powiodło w Australji i mamy duży majątek.

— Lucya bogata! — powtórzyła Klaudya z uśmiechem pełnym zdziwienia. — Biedna Lucya, jakaż to dla niej zmiana! Lucya w jedwabiach, mająca własną służbę! to mi się wydaje nieprawdopodobnem. A jednak wierz mi, Laurenty, jestem bardzo z tego szczęśliwa. Powiedz jej to odemnie. Ona pamiętać musi, że ja nigdy nie byłam zimną, ani dumną. Kornelia tylko uważała się za obrażoną, że matka twoja przyjęła miejsce u pana Norbery, nie naradziwszy się z nami.

— To już tak dawno! — zawołał Laurenty. — Nie warto nawet wspominać.

— Nie znasz ludzi — rzekła Klaudya z uśmiechem. — Urazy, zwłaszcza w rodzinie, pamiętają się bardzo długo. Czy wiesz, że od owej chwili nie wymieniłyśmy nigdy imienia Lucyi w naszym domu, nie byłyśmy na jej ślubie i ona nie prosiła nas nawet, wiedząc, że byłoby to nadaremnie?

— Pewny jestem, że matka oddawna zapomniała o tem.

— Zapewne, skoro przysłała cię do nich. Nie przypuszczałam, że Kornelia da się zwieść tak łatwo. Nie mogę uwierzyć, że cię nie poznała.

Rozmowa o familijnych stosunkach przeciągnęła się długo; Laurenty znalazł w Klaudyi niewyczerpane źródło wiadomości i sąd trafny, a nawet względnie i bezstronny.

— Pięknie to ze strony Lucyi, że cię przysłała do nas, — rzekła w końcu. — Zawsze była dobrą. Obiedwie były miłe, dobre. Syn nigdy wiedzieć nie może, jaką była w młodości jego matka. Flora była piękniejszą i więcej miała powabu, lecz nie umiała być tak wytrwałą i poważną, jak twoja matka. Biedactwo!

— Co się z nią stało? — zapytał żywo młodzieniec.

— Nie wiem, nie pytaj mię o to. Jeżeli wie kto, co o niej, to chyba Kornelia. Biedna dziewczyna! Zawsze była moją faworytką.

— Chciałbym ją bardzo odszukać — rzekł Laurenty. — Jest to jeden z celów podróży mojej do Anglji.

— W tem ci dopomódz nie mogę, mój drogi. Kiedy się im dasz poznać, zapytaj o to Kornelii. Po tem, co zrobisz dla nich, przypuszczam, że się nie ośmieli odmówić ci wyjaśnień. Przedewszystkiem, jednak, ratuj ich, mój chłopcze. Byłoby to strasznym ciosem, gdyby musieli dom sprzedać. Stanowiliśmy tu zawsze jedną z najbardziej szanowanych rodzin, nie chciałabym doczekać takiego upadku.

— Nie przyjdzie do tego — rzekł Laurenty z uśmiechem; — naradzimy się jeszcze w tej kwestji, zobaczę, co będzie można zrobić dla wuja Lucyusza.

— Wiedziałam, że tak powiesz, ale to jeszcze nie wszystko: chcę cię prosić także abyś się zajął losem mego syna, Feliksa.

— Mówiłem z nim już, ciotko Klaudyo. Chce jechać ze mną do Australji.

— Powiedział mi o tem — rzekła smutnie, a łzy zaświeciły jej w oczach. — Nic go tutaj nie wiąże, prócz Kasi. Gorąca, gwałtowna natura, nie umie przystosować się do naszych więzów, innego potrzebuje życia.

— Ojciec mój potrafi może zużytkować jego zdolności.

— Kochał ją całe życie — szepnęła biedna matka, od dziecka przywykł ją nazywać swoją żoną, i pomyśleć, że ten przybłęda, obsypany dobrodziejstwami, za rał mu całe szczęście, aby je rzucić jak zepsute cacko! Lecz wpadł we własne sidła i nadejdzie godzina wyroku i kary. Wspomnisz moje słowa, Laurenty.

I mówiła dalej o synu swym ukochanym, któremu brakło tylko wiary i siły moralnej, by wznieść się nad otoczenie i zajść daleko na szczeblach drabiny społecznej.

W sąsiednim pokoju dały się słyszeć przyciszone głosy, drzwi otworzyły się cicho, i w ramie ciężkiej portyery stanęła mała postać Flavii, prowadząc za rękę kawalera.

— Pan tutaj, panie Waller? — zawołała zdziwiona. — Lecz mniejsza o to, niech wszyscy wiedzą odrazu, wszystko mi jedno, chciałam tylko naprzód powiedzieć ciotce Klaudyi.

— Co się stało? — spytała zaniepokojona gospodyni domu, wstając z krzesła. — Czy i ty straciłeś miejsce?

— O, nie — odparła Flavia — mam nadzieję, że mi go nie odbiorą, ale tak dłużej być nie może.

— Cóż takiego, Flavio?

— Tak dłużej być nie może — powtórzyła Flavia — powiedziałam to kawalerowi i przyprowadziłam go tutaj, aby pomówić z tobą, ciotko Klaudyo.

Kawaler skłonił się poważnie, a potem wziął rękę Flavii i podniósł ją do ust. Zarumienione dziewczę wyglądało dziś całkiem inaczej, zniknęła gdzieś jej sztywność i wyraz niewzruszonej godności, który ją czynił podobną do ojca i ciotki Kornelii, jej oczy wilgotne błyszczały wzruszeniem, usta miały wyraz słodyczy i łagodności bez granic.

— Ciotko Klaudyo — rzekła, podnosząc wzrok na kawalera — oznajmiam ci w obec pana Wallera, że nie ma na świecie lepszego człowieka od tego, którego ci przyprowadziłam. Nie ma lepszego, lecz nie ma zarazem bardziej nieszczęśliwego i prześladowanego — ciągnęła dalej z zapałem. — To biały murzyn, niewolnik, pracujący na tego łotra, który mu nawet nie wart rozwiązać trzewika. Czy wiesz ciotko: jest u niego kucharzem, myje podłogi i kopie w ogrodzie, przez resztę czasu siedzi przy biurku i pisze, a za to wszystko płacą mu dziesięć funtów rocznie! Pomyśl tylko cioko, dziesięć funtów rocznie! To znaczy, że nic mu nie płacą. Patrz na jego ubranie: nie ma własnych butów, tylko dodziera stare po tym niegodziwcu, który mu je potem potrąca z rachunku. O, to okropne!

— Ale cóż ja poradzę, moja droga?

— Pozwól mi, ciotko Klaudyo. Kawaler należy do stowarzyszenia; myślałam, że bracia znajdą sposób na to. Nie chodzi przecież o jałmużnę, lecz o to tylko, aby jego pracę uczciwie wynagradzano. Byłam u siostry Tabity i brata Mateusza, powiedzieli mi jednak, że stowarzyszenie składa się z ludzi ubogich, którzy nie mają środków, ani stosunków żadnych. Wtedy zdecydowałam się na co innego.

— Domyślałam się — rzekł Laurenty.

— Kawaler nie jest stworzony na kucharza i ogrodnika, jego posłannictwo jest inne i spełnić je musi. Obecnie jest uwięziony; gdyby pozostało tak dłużej, zginąłby marnie, nie spełniwszy go na tym świecie, dla tego musi być wolnym. Musi być wolnym i czynem stwierdzać to, ciotko, co ty przepowiadasz. Miłość, głoszona słowem, to tylko zapowiedź zbawienia; miłość objawiona czynem, to dopiero szerzenie królestwa Bożego na ziemi.

— Cóż ty na to powiesz kawalerze? — z powagą zapytała Klaudya.

— Pragnę głosić równość i braterstwo — odparł kawaler, wznosząc jaśniejące oczy — miłość chrześciańską zastosowaną nietylko do podniesienia dusz i umysłów ku Bogu, lecz przenikającą wszystkie czynności nasze, wszystkie codzienne trudy i sprawy życia naszego na ziemi. Miłość nie tylko jako hymn pochwalny wznoszącą się ku Stwórcy, lecz rozlewającą się na kształt potężnego morza na wszystkich braci naszych, na ludzkość całą! Ustałyby wtedy zbrodnie, nieszczęścia i klęski, ludzie i społeczeństwa zjednoczeni wzajemną miłością, przedstawialiby obraz bratniego pokoju, niezakłóconego szczęścia. Ty, siostro, pragniesz zbawić nasze dusze, ja pragnę życie uczynić dobrem i szczęśliwem przez miłość chrześciańską. To święte posłannictwo pragnę spełnić na świecie, głosząc prawdę, którą czuję w duszy. Nie ma wielkich i małych, potężnych i słabych, wszyscy jesteśmy równi, wszyscy jesteśmy bracia, dzieci Boże. Niech runą ściany kaplicy twojej, siostro Klaudyo, niech słowa twoje popłyną daleko, niechaj ostatek sił moich i życia posłuży im za świadectwo, jakie służyły dotąd wszystkie dni mojego istnienia.

— Pięknie mówisz, kawalerze — rzekła Klaudya, patrząc nań wzrokiem pełnym podziwu i uznania.

— Chciałam to niegdyś wykładać z katedry — ciągnął kwaler dalej — lecz nie umiem być profesorem; apostolstwo to moje powołanie. Apostoł tylko przemawia do rzeszy, apostoł nie zna wybranych i odtrąconych, apostoł życiem i śmiercią stwierdza prawdę swojej nauki.

Po chwili znów zaczął:

— Pragnę nim zostać, to dziewczę zbudziło mię z letargu, zerwało więzy, któremi mię skrępowano, chce mi dać życie swoje. Nie wiem tylko — zaczął nieśmiało — tak wielka między nami różnica, mam już lat pięćdziesiąt.

— Tylko o dwadzieścia dziewięć lat starszy jest odemnie — zawołała Flavia. — Cóż to znaczy różnica wieku?

Kawaler spojrzał na nią wzrokiem rozpromienionym.

— Zaślubię go — rzekła Flavia z dumą — i na początek żyć musimy z tego, co mi przynosi moje miejsce. Dwadzieścia pięć szylingów wystarczy na dwoje, pewną jestem, że kawaler wkrótce potrafi zarobić drugie tyle, nie wiem tylko, co ojciec powie na to.

— A ty, kawalerze? — zapytała Klaudya.

— Cóż ja mogę powiedzieć? — rzekł biedak ze łzami w oczach. — Ona mi daje wolność i pozwala spełnić moje posłannictwo. Nie zraża się ubóstwem i wiekiem. Jestem stary, ona jest młodą, daje mi miłość swoją i siebie, cóż ja na to powiedzieć mogę?

Klaudya niepewnym wzrokiem spojrzała na Laurentego.

— Odchodzę — rzekł ten ostatni, powstając — trzeba zostawić was samych z ciotką Klaudyą, porozumiecie się lepiej. Jesteś szlachetną dziewczyną, siostrzyczko Flavio i mam nadzieję, że zastanowiłaś się dobrze nad tem, co chcesz uczynić. Jeżeli kochasz go rzeczywiście, nie wahaj się. Dasz szczęście i będziesz szczęśliwa. Lata nie wszystko stanowią w małżeństwie. A jakże się będziemy nazywali, siostrzyczko, gdy zostaniesz żoną kawalera? — spytał żartobliwie, podając jej rękę na pożegnanie.

— Panią de Heyn po prostu — odparła Flavia z powagą — w Nowym Kościele nie uznajemy tytułów.

— Szczęśliwem trafem — mówił do siebie Laurenty, znalazłszy się sam znowu w swoim pokoju — przyjechałem poznać kuzyna a znalazłem całą rodzinę, potrzebującą wsparcia i pomocy. Matka powinna być zadowolona z rezultatów mojej podróży. Niezawodnie będzie zadowolona.

IX.

Na dnie przepaści.

W kilka dni potem, przechodząc ulicą, Laurenty, spostrzegł po drugiej stronie idącą ubogą kobiktę. W tej dzielnicy Londynu nie jest to rzadkiem zjawiskiem, młodzienie jednak mimowoli prawie zwrócił na nią uwagę. Wydała mu się nie obcą. Jej odzież stanowiły łachmany pozszywane starannie, których koloru niepodobna było określić. Szła, chwiejąc się i chwilami opierając o mur, jak człowiek bardzo osłabiony. Nagle przed progiem niewielkiego domku spostrzegła skórkę chleba, pozostawioną tu może przez dziecko lub psa spłoszonego. Kobieta z chciwością rzuciła się na nią i usiadłszy na poblizkich schodkach, jadła, żując twarde i suche pieczywo i odrywając je po kawałeczku zdrowemi jeszcze zębami.

Teraz Laurenty poznał ją nareszcie. Była to biedna kobieta, którą widział parę tygodni temu w kościele, rozmawiającą z Kornelią. Całe to zdarzenie stanęło mu żywo w pamięci; biedaczka była protegowaną Altei, ciotka Kornelia nazywała ją wstydem rodziny.

Z dziwnem uczuciem w sercu przeszedł w poprzek ulicy i zbliżył się do ubogiej.

— Jak się macie, matko? — rzekł uprzejmie. — Czy mię poznajecie?

— Nie, panie — odparła, popatrzywszy nań chwilę uważnie.

— Widziałem was w kościele św. Leonarda.

— Bywam tam czasami, panie.

— Czy mogę wam w czem dopomódz? Zdaje się, że jesteście w potrzebie.

Ona uśmiechnęła się boleśnie.

— Spojrzyj pan na mnie — rzekła, — a pytać nie będziesz.

Spojrzał na nią w istocie uważnie i długo nie odwracał wzroku od tej twarzy pomarszczonej, zwiędłej i wychudłej, na której mimo to przecież widniały jeszcze ślady niepospolitej piękności. Jej rysy zachowały dotąd czystość swoich linij, oczy blask, wyraz i barwę, głos dźwięki miękkie i pieszczące ucho. Przypominała mu Kasię i ciotkę Klaudyą. Gdy była młodą, musiała także mieć ten wdzięk słodki i nieprzeparty, jak one.

— Znacie przecież miss Indagine? — odezwał się wreszcie, — nie wiem jakim sposobem mogła zapomnieć o was.

— Wyrzucili mnie ze starego mieszkania i miss Altea nie znalazłaby mię teraz.

— Dlaczegożeście się do niej nie udali?

— Bo mi dopomódz nie może. Pieniędzy nie ma, a patrząc na moję nędzę, czuje się tylko bardziej nieszczęśliwą.

— Gdzie mieszkacie?

— Tu niedaleko, na rogu, nie wiem tylko jak długo jeszcze będą mię tam trzymali.

— Zaprowadźcie mię do swego mieszkania, będziemy mieli przynajmniej gdzie usiąść i porozmawiać trochę.

— Usiąść w mojem mieszkaniu! — zaśmiała się staruszka. — Dobrze, spróbujemy usiąść. Pójdź pan i zobacz, jak mieszkają biedni. Zobacz własnemi oczami. Ty nie wiesz może, co to znaczy nędza. Jesteś młody i lekkomyślny, zobacz jakiem jest życie dla tych, którzy pragną już tylko śmierci. Pójdź, zobacz, zobacz własnemi oczami!

Powstała z trudnością i pobiegła naprzód, jakby nagle sił jej przybyło. Ale ustała wkrótce, zgasł gorączkowy blask oczu, zwiesiła głowę na piersi i szła znowu powoli, słaniając się na nogach i opierając o ściany.

Laurenty patrzył na nią ze współczuciem, myśląc o życiu, jakie wiodła dzisiaj i o minionej przeszłości, gdy była młodą i piękną dziewczyną, kochaną może i pełną nadziei szczęścia, uśmiechającą się ufnie do życia, które tak srogim jej odpłaciło zawodem.

»Wstydem rodziny« nazywała ją ciotka Kornelia; czemże być mogła ta wyrobnica biedna dla szanownej rodziny Wincentego Cottle?

— To tutaj — rzekła wreszcie, — możesz pan iść za mną na schody.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Nadesłane.

W obecnej porze, gdy nadchodzi sezon jesienny i zimowy, a z nim potrzeba nowego i cieplejszego ubrania, poczytujemy sobie za obowiązek zwrócić uwagę publiczną na wielki magazyn sukna, towarów wełnianych, modnych i t. p. istniejący we Lwowie przy ul. Hetmańskiej l. 8 (Hotel Langa), którego właścicielami są znani tutejsi kupcy pp. **B. Mikuliński** i **L. Krokowski.** W magazynie tym bogato zaopatrzonym w towar, według gustu, potrzeby i kieszeni, co się odnosi do ubrania można dostać, jak to powiadają dobrze i tanio. Rzetelność w handlu pp. Mikulińskiego i Krokowskiego, jest główną podstawą — ona też sprawiła to, że magazyn ten wyrobił sobie w krótkim czasie doskonałą opinję wśród swoich odbiorców i w ten sposób postępuje, że gdy kto raz wejdzie z nim w stosunki, to już potem nigdzie podobnych sprawunków załatwiać nie chce. (5440—3—2).

Zwracamy uwagę na ogłoszenie **Dra Freysingera w Lisku.** Ogłoszenie to dotyczy szczepienia ospy, rzeczy, jak wiadomo, niezmiernie ważnej dla każdej rodziny. Dr. Freysinger pod każdym względem zasługuje na publiczne zaufanie, a nawet wdzięczność, gdyż jako specjalista lekarz daje zupełną rękojmię zdrowej krowianki. Pomijając już to, że ta krowianka na ostatniej wystawie krakowskiej, odznaczona została medalem rządowym, sama czynność wyrabiania jej przez fachowego lekarza i do tego tu w kraju, jest niezmiernie ważnym szczegółem. Dla tego wszystkim rodzinom gorąco zalecamy, aby po krowiankę do szczepienia ospy swoim dzieciom udawali się wprost do *Dra Freysingera w Lisku*, a mogą być spokojni o zdrowie swoich dzieci. Bliższe szczegóły znajdzie każdy w ogłoszeniu.

5288 st.—25

Przed rokiem założony we Lwowie przy placu Kapitulnym l. 3 wielki magazyn platerowanych srebrnych wyrobów pochodzących ze sławnej warszawskiej fabryki Józefa Fraget cieszącej się powszechnem uznaniem bo wyroby z tej fabryki pochodzące, w całej Europie, odznaczają się niezwykłą trwałością i gustem w wykonaniu, nigdy nie czernieją a zatem przewyższają tak zwane chińskie srebro, które jest znacznie droższe od powyższych wyrobów platerowanych. Pan Michał Herschthal zastępca firmy Józefa Fraget z Warszawy, a kierownik magazynu we Lwowie, sprowadził obecnie wiele nowych przedmiotów, jakie w żadnym podobnym magazynie nie znajdują się, również posiada wielki wybór przyborów kościelnych i cerkiewnych, w niezwykłem wykonaniu i poleca takowe po cenach umiarkowanych za gotówkę, a nawet na spłaty ratami. Wszedłszy raz w stosunki z firmą powyższą, z pewnością każdy zadowolonym będzie, albowiem kierownictwo tejże spoczywa w rękach zacnego i rzetelnego człowieka, który już niejednokrotnie dał się poznać szerszej publicznośai całej Galicji i Bukowiny. Nadmienia się, że wyroby Frageta są tak doskonale platerowane srebrem, iż urząd menniczy myli się i pragnie kłaść na nich stampiglję prób. 5433—6—2.

Wielka korzyść dla dostawców obuwia dla c. i k. armii, którzy mogą sprowadzać już gotowe, najdokładniej przykrojone skóry na obuwie z pierwszej Galicyjskiej parowej fabryki obuwia **Bronisława Dobrzańskiego w Krakowie przy ulicy Starowiślnej l. 20.** Fabyka powyższa posiada wielki skład różnorodnych skór, gotowych przykroi, cholewek, gum, podszewek, przędzy, sztyftów, gwoździ, kołków, kopyt i t. p. przyborów szewskich, **po bardzo umiarkowanych cenach.** Wszelkie zamówienia uskuteczniają się bardzo szybko i rzetelnie. (5417-6-2).

Szyk! Pięknie i gustownie zrobiona suknia, niejednokrotnie dodaje nawet bardzo wątłym osobom szyku, aby zaś pięknie zrobić suknię damską, trzeba być w tym względzie mistrzem niezwykle wykształconym. Nie od rzeczy tedy będzie, jeżeli zwrócimy baczną uwagę naszych pięknych pań, na znany od wielu lat z rzetelności magazyn konfekcji damskiej pani **Walerji Woyczyńskiej przy ulicy Halickiej pod l. 11 we Lwowie,** w którym po bardzo niskich cenach wykonują się wszelkie roboty sukien i okryć damskich, spiesznie i według najnowszych modeli. Przy magazynie konfekcji damskiej, istnieje wielki komisowy skład płócien wzorowego warsztatu tkackiego z Glinian. (5416-3-3).

Juljusz Herz w Nowym Targu, poleca Szan. P. T. Publiczności, swój wzorowo i z wszelkiemi wygodami urządzony hotel, z usługą chętną i uczciwą — porządek w tym hotelu panuje na każdym kroku, a ceny bardzo przystępne. Przy hotelu znajduje się starannie urządzona restauracja, w której o każdej porze wszelkie jedzenie i najrozmaitsze napoje po cenach umiarkowanych dostać można. 5134—8—8.

Znany powszechnie **Hotel Polski w Krakowie** przy ul. Florjańskiej, przez nowonabywcę p. Girtlera, został odświeżony i podług wszelkich wymagań urządzony. Mieszkania w tymże hotelu czyste i bardzo starannie utrzymywane, służba na każde zawołanie chętna i uprzejma, zaś **ceny mieszkań nadzwyczaj umiarkowane.** na co baczną uwagę P. T. Publiczności zwraca się. (5415-4-3)

Bardzo starannie czysto i smaczny chleb, oraz wszelkie inne pieczywo, wyrabia p. *Fedorowicz*, właściciel piekarni *w Szczawnicy*, na co baczną uwagę zwraca się Szanownej P. T. Publiczności. 5430—4—3.

Odszczególnioną medalem rządowym na Wystawie krajowej w Krakowie w r. 1887

KROWIANKĘ

pewną i czystą poleconą przez Kom przem. Tow. lek. krak. rozsyła konces.
Zakład Krowiankowy w Lisku po cenie **60** ct. za fiolę szklanną lub kauczukową, wystarczającą do zaszczepienia 3 dzieci.

Składy w aptekach: K. Wiszniewskiego i L. Rosnera w Krakowie; — J. Beisera i Sklepińskiego we Lwowie i Lepiankiewicza w Przemyślu. — Większe obstalunki znacznie taniej uprasza się kilka dni naprzód zamówić.

Józef Freysinger
5287—36 st. lekarz m. **W Lisku.**

3% Losy austryjackiego Zakładu kredytowego ziemskiego
sześć (6) ciągnień rocznie
główna wygrana:
50.000 złr. a. w.
4% Losy węgierskiego Banku hipotecznego
trzy (3) ciągnienia rocznie
główna wygrana:
50.000 złr. a. w.,
jakotęż wszelkie losy Czerwonego Krzyża i serbskie 10 frankowe sprzedaje najtaniej

Sokal i Lilien

dom bankowy i kantor wymiany.

Zlecenia z prowincji wykonujemy bezzwłocznie niedoliczając prowizji, a na żądanie zaliczkę. (4792-st.)

Dr. Arnold Ehrlich

otworzył kancelarję adwokacką
w Tarnopolu
przy ulicy Pańskiej (dawniej c. k. urząd podatkowy).
5375—5—4.

Dom Zdrowia

DLA UMYSŁOWO CHORYCH
Dra Karola Żuławskiego
Docenta Psychiatrji,
w Krakowie, ulica Długa liczba 82
koncès. przez Wys. c. k. Namiestnictwo galicyjskie.

Przyjmuje osoby dotknięte chorobą umysłową, alkoholistów, morfinistów, jakoteż osoby dotknięte wszelkiego rodzaju nerwicami, połączonemi ze zboczeniem umysłu.
Leczenie odpowiednio do postępów nauki, hydro i elektroterapia w miarę potrzeby.
Dom zdrowia istniejący od roku, urządzony z komfortem, nie ustępuje w niczem pierwszorzędnym podobnym Zakładom zagranicznym, położony w najzdrowszej dzielnicy miasta wśród ogrodów. Dla przyjemności chorych jest czytelnia, fortepian, rozmaite gry, wspólna sala jadalna. Staranna opieka, wszelkie wygody i towarzyskie życie wśród rodziny są zapewnione.
Ceny wraz z opieką lekarską i zupełnem utrzymaniem od 5 do 10 złr. dziennie, stósownie do umowy i wymagania.
Właściciel zakładu przesela na żądanie program, jakoteż udziela wyjaśnień ustnych, lub pisemnych. (5436-4-1).

Ogłoszenie.

Zawiadamiam niniejszem Szan. Publiczność, że na moich składach materjałów budowlanych i **fabryce wyrobów betonowych,** pod firmą:

J. Rzędowski

we Lwowie ul. Sykstuska l. 16 (Telefon Nr. 180)
w Przemyślu ul. Mickiewicza Nr. 249, naprzeciw hotelu Victoria

utrzymuję następujące artykuły, które dostarczam po jak najprzystępniejszych cenach i warunkach:

Cement najsławniejszej marki, górno-szlązkiej fabryki w Oppolu, **wapno** hydrauliczne i skaliste, **gips** murarski, nawozowy, sztukatorski i alabastrowy, **piece** kaflowe, **posadzki, rury, rynny, żłoby i muszle** steingutowe, jakoteż i cementewe własnego wyrobu, **papę** dachową, **płyty** izolacyjne, **cegły** i **płyty** piekarskie ogniotrwałe, **dreny i dachówki**, różne odlewy żelazne budowlane, jako to: **słupy, kroksztyny, balasy** do schodów i balkonów, **drzwiczki** hermetyczne do pieców, **rury** spustowe, **słupy** do latarń i w ogóle wszelkie materjały wchodzące w zakres budowy.

Szczególnie pozwalam sobie zwrócić uwagę Szanownej Publiczności na moje posadzki cementowe, które wyrabiam w różnych kolorach i które są bardzo pożytecznemi do kuchen, ponieważ nie dopuszczają wilgoci, ani owadów i w ogóle trzymają się one zawsze bardzo czysto.

Uskuteczniam ze znajomością fachu wszelkie roboty przy kanałach podziemnych z betonu, lub też i z rur steingutowych. 5355—10—5.

ANTONI ROZMANIT

KRAKÓW.
Fabryka parowa
Cykorji, Surogatów kawy i kawy figowej
w Rakowicach pod Krakowem

Wyrabia z produktu surowego własnej plantacji wszelkie gatunki Cykorji i sztucznej Kawy, odznaczające się bogactwem części pożywnych, tudzież doskonałym smakiem i zapachem.

Fabryka poleca przedewszystkiem:

Surogat Kawy w pudełkach (szufladkach).
Surogat Kawy w szklankach.
Kawę śrutową francuską Rozmanita.
Cykorję krakowską gorzką.
Kawę figową.
Cykorjową Kawę perłową.
Kawę krakowską w skrzyneczkach wyborową. 5459 st. — 13

Zalecające wyroby mojej fabryki, przewyższające zaletami wszelkie tego rodzaju produkta zagraniczne, żywię niepłonną nadzieję, że Panie Gospodynie nasze, które otaczają zawsze i wszędzie swem życzliwem poparciem przemysł krajowy, zechcą i tu być pomocnemi w popieraniu i rozpowszechnianiu wytworów moich.

Do nabycia we wszystkich handlach.

Ukończywszy na wszechnicy w Wiedniu studya **położnictwa i masaży** gdzie też z odznaczeniem dyplom uzyskałam, osiedliłam się

w Brodach przy ulicy Lwowskiej.

Masaże wykonuję w domu i za domem.

Agata Lewgo

dypl. akuszerka i masażerka.
(5442-6-1).

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Fr. Ks. Kowaliszyn.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego ul. Kopernika l. 5 Telefon 117.

Dodatek do Nru 26. „Gońca i Iskry”.

Lwów, dnia 20. Września 1891.

Od Wydawnictwa.

Zapowiedzianą zmianę w wydawnictwie *Gońca* i *Iskry* przyprowadzamy do skutku od października.

Goniec i *Iskra* poczynając więc od października wychodzi będzie **co tydzień** w każdą sobotę, wieczorem, z datą niedzielną.

Co do zmian w redakcji pisma, materjału literackiego, treści — o tem wszystkiem dowiedzą się szan. czytelnicy nasi z numeru *Gońca* i *Iskry*, który wyjdzie w nowem wydaniu, a które rozpoczynać będzie również nowy okres naszego wydawnictwa liczącego już lat 15 istnienia. Tu tylko powiedzieć możemy, że redakcja dołożyła i dołoży wszelkich starań, aby *Goniec* i *Iskra* tak pod względem literackim, jak i illustracyjnym, było pismem zawsze opartem o uczciwe i patrjotyczne tendencje i, aby pod formą humoru, satyry i krytyki, siało zdrowe ziarna w naszem społeczeństwie.

Zmieniając wydawanie *Gońca* i *Iskry* na **tygodniowe** pismo, zamiast, jak dotąd, trzy razy na miesiąc, powiększamy koszta wydawnictwa — mamy, jednak, nadzieję, że starania, praca i zachody nasze znajdą szczere poparcie, na co się, zresztą, i teraz skarżyć nie mamy prawa.

Ceny prenumeracyjnej pomimo znacznego zwiększenia się liczby numerów i opłacania stempla dziennikarskiego, powiększać nie będziemy.

Aby przed wyjściem numeru w zmienionem wydawnictwie być w porządku z szan. czytelnikami naszymi, uważamy sobie za obowiązek, dać dokończenie drukującej się powieści p. t. **Wychowaniec**; że zaś w zwykłym wypuszczaniu numerów nie moglibyśmy tego uczynić przed terminem wyjścia nowego numeru *Gońca* i *Iskry*, więc dajemy umyślnie cały bieżący numer 26 zajęty powieścią, wypuszczamy niniejszy dodatek z różną treścią literacką bieżącą, a następnie do wyjścia nowego numeru *Gońca* i *Iskry* damy dodatek, lub wreszcie dwa dodatki, jeżeli tego będzie potrzeba z zupełnem dokończeniem powieści **Wychowaniec** i również z dokończeniem: **Z Wycieczki.**

Ponieważ od października *Goniec* i *Iskra* wychodzić będzie w każdą niedzielę rano, a zatem numer *Gońca* i *Iskry* w nowem wydanin wyjdzie dnia 4 października.

Administracja uprzejmie prosi szan. abonentów łaskawe nadesłanie zaległej i odnawianie bieżącej prenumeraty.

Od ręki.

= Odezwa do artystów polskich.

Niżej podpisani, upoważnieni przez Radę Muzeum Narodowego w Rapperswylu, mają zaszczyt zawiagomić, iż Rada na tegorocznem walnem posiedzeniu, ze swych skromnych funduszów wyznaczyła 2.000 fr. na zakupienie dla Muzeum obrazu historycznego, dotyczącego dziejów Polski. Pragnąc, jak najsumienniej wywiązać się z położonego w nas zaufania, upraszamy szanownych polskich artystów, przede wszystkiem zaś tych, których sprawa Muzeum Narodowego polskiego obchodzi, o nadesłanie ofert i bliższych szczegółów do jednego z upoważnionych członków Rady.

Rapperswyl 8. sierpnia 1891 r.

J. k. Janowski (Rynek l. 3, Lwów), H. Bukowski (Stokholm, Arsenalsgasse 2), Benzelstjerna-Engestroem (Poznań).

Upraszamy wszystkie dzienniki polskie o powtórzenie niniejszej odezwy.

Długość życia ludzkiego.

Dla nas, śmiertelnych, stary to motyw, a wiecznie młody, wiecznie budzi interes, zaciekawia i zaciekawiać będzie dopókąd stanie ludzkości..

Świeżo profesor Casper, lekarz niemiecki, dokonał ponownego obliczenia wedle ostatnich spisów ludności, dopełnionych w Europie i przyjąwszy za podstawę cyfrę 70 lat, jako próg wieku podeszłego, podaje następujący rezultat mozolnego skombinowania z tą cyfrą rozmaitych zawodów, jakim poświęcają się ludzie. Z obliczenia tego pokazuje się, że siedmdziesięciu lat wieku dochodzą przedewszystkiem duchowni, największy ich procent po za próg starości przechodzi. Najmniejszy procent zaś dają lekarze. Wedle tablic profesora Caspera, główniejsze profesje dają następujący na sto osób procent tych, którzy rok 70 życia przechodzą:

Duchownych na 100	42
Rolników	40
Robotników fabrycznych	35
Żołnierzy	32
Subjektów i służby handlowej	32
Adwokatów	29
Artyssów i aktorów	28
Profesorów, autorów i publicystów	27
Lekarzy	24

Na pierwszy rzut oka cyfry te wyglądają nieco dziwnie. W samej rzeczy trudno pogodzić się z faktem, że najkrócej żyją lekarze, krócej o wiele od żołnierzy, których zawód lada chwila kres życia położyć jest w stanie. Jakże tu wierzyć, jak ufać tym ludziom, sprzedającym nam zdrowie, skoro go sami nie mają?

I jakie mogą być właściwe powody takiego stanu rzeczy? Czyżby, istotnie, lekarz u węzgłowia chorych chłonął życiobójcze pierwiastki, które tak rzadko starości doczekać mu pozwalają? Być może. Niejaką wskazówkę, co do tej kwestji możnaby dopatrzyć w obserwacji dra Caspera, który zauważył, że w zawodzie lekarskim pierwsze dziesięć lat dają najobfitsze żniwo śmierci. Po dziesięciu latach szanse długowieczności wśród lekarzy się wzmagają i lekarz, który doszedł 70 lat wieku, nierzadko parę i kilka dziesiątków lat żyje. Doktorzy niemieccy liczą aż siedmiu takich wśród siebie, co dziś stu lat życia dosięgli; francuzki lekarz Beaupin dożył 117 lat, Bufournel 120 lat wieku.

Zawody artysty, aktora, profesora, pisarza, publicysty i adwokata są i pracowite, i agitacji pełne, zużywają one też bardzo człowieka, a im agitacja, roznamiętnienie, pogoń za sławą większe są, tem bardziej kres życia przyspieszają. Są zawody w których, jak powiada dr. Casper, — człowiek nadużywa życia zwierzęcego, lekceważy je, poniewiera — a przecież zapasy jego są ograniczone, nie są niewyczerpane. Wszystko, wreszcie, w tych zawodach, wszystkie siły człowieka narażone są na poniewierkę i steranie; wzrok osłabiają i niszczą — światła sztuczne; słuch — dźwięki godzinami całemi płynące, a jednostajne; powonienie — atmosfera najczęściej zaduszna gabinetów, sal audjencjonalnych, kulisów; smak tępieje w skutku nieregularnego najczęściej odżywiania organizmu, jadania potraw odgrzewanych itp. Dalej idąc, mózg szwankuje przez ustawiczne prawie natężenie, którego ofiarą bywa z czasem i cały system nerwowy.

Im dalej od tych męczących zawodów odchodzimy, im bardziej zbliżamy się ku takim, które dają organizmowi spokój i równowagę, tem większa staje się przeciętna życia ludzkiego, tem większy procent tych, co siedemdziesiątego roku dochodzą. Ztąd mamy najpomyślniejszy stosunek wśród stanu duchownego i rolniczego. Odżywsze powietrze, wstrzemięźliwość i życie proste, oto warunki dla człowieka najprzyjaźniejsze. Zdawałoby się, że duchowni, jako żyjący w celibacie, który stanowczo skraca życie ludzkie, nie mogą pretendować do długowieczności. Jest tymczasem wprost przeciwnie, a jest tak dzięki wielkiej systematyczności trybu życia i umiarkowania jakie ich cechuje.

Subjekci i służba handlowa, oraz rzemieślnicy prowadzą również życie systematyczne ale zarazem sedentaryjne, pozbawione ruchu i dobrego powietrza; ztąd warunki ich są już gorsze.

Z pośród robotników fabrycznych, najgorzej mają się, zdaniem autora, robotnicy w Anglji. Robotnik w Liverpool ma przed sobą szansę śmierci, wyrażającą się w cyfrze 1 na 29; w Manchester jeszcze gorzej, bo 1 na 17, w Sheffield najgorzej: 1 na 14! Cyfry straszne. Cyfry tak straszne, że przewyższają śmiertelność wśród żołnierzy na polu bitwy! Jakoż szansa śmierci dla żołnierzy podczas oblężenia Antwerpji wyrażała się w cyfrze 1 na 68: pod Bajadoz 1 na 54, poe Waterloo 1 na 30.

W końcu doktór Casper podaje wiadomość, która może z ogólnego punktu pocieszyć ludzkość! Wywodzi on na cyfrach, że przeciętna życia ludzkiego, pomimo wszystkich wpływów szkodliwych cywilizacji wzrasta, i że jeżeli wiek XIX. zdoła do końca uniknąć wielkiej wojny i klęski, któraby miljonom ludzi śmierć przyniosła, zejdzie on z daleko lepszemi danemi, aniżeli jego poprzednicy. Wróży nam wówczas dr. Casper, jako przeciętną cyfrę życia ludzkiego, lat 50! Ejże, czy nie optymizm?

Zagłada żab.

(Bajka).

Między lasami, między lasami,
Był staw zarosły szuwarem,
Staw ten się roił wiecznie żabami,
I dźwięczał zawsze ich gwarem.

Spokojnie żyły żaby w tym stawie,
Żyły, jak ptaszki wesoło;
Niczyje oko nigdy ciekawie
Nie zaglądało w ich koło.

Wśród wiecznej wrzawy i wiecznej zwady,
Którą król żabi łagodził,
Nikt nie przypuszczał rychłej zagłady,
Dzień po dniu spokojnie schodził.

Raz kiedy żaby, te stujęzyczne,
Pląsały znowu gwarliwie,
Gdy przygłuszały pienia słowiczne,
Nagle zamilkły skwapliwie.

Zaszumiał wicher z zachodniej strony,
Kładą się trawy stepowe,
Sunie trawami tłum niezliczony,
Sunie się wojsko wężowe...

Zjadliwe węże wyszły za łupem
I w strasznym swoim pochodzie,
Niszczą w około i kładą trupem,
Wszystko na ziemi i wodzie.

Padł strach na żaby, dotąd spokojne,
Pewna je czeka zagłada,
Przyjdzie im zginąć, lub przyjąć wojnę
Więc walna wśród nich narada.

Stare okupem zbyć wężów pragną,
Młode do walki gotowe,
Pod jarzmo wrogów karku nie nagną,
I wznoszą krzyki bojowe.

Przyszły więc węże i pełne zdrady,
Nuż obiecywać nie mało,
Nim się skończyły z wrogiem układy,
Żab w całym stawie nie stało.

E. S.

Teatr.

Spłowiała już dobrze *Serafina* Wiktoryna Sardou ukazała swoje oblicze na letniej scenie. Patrzyło się na nią i słuchało jednak tej bigotki z niemałą przyjemnością, bo niestety takie piękne teraz czasy, że formalnie nie materaz co i kogo słuchać...

Serafinę grała pani Cichocka najniewłaściwiej w świecie — rolę tę, bezwarunkowo, grać powinna pani Nowakowska. Admirałem był p. Chmieliński — w ogóle, niezwykły talent tego artysty objął postać Montyquac'a w całości, w niektórych, wszakże scenach — banalna gra Sarafiny obniżała wrażenie gry admirała nie dostrajając się do sytuacji.

Cóż mamy powiedzieć o Iwonie panny Heleny Zimajer?... Zrobione było wszystko, co było do zrobienia — ale artystka nie uderzyła, ani w jedną nutę naturalnego uczucia, ani w jeden ton ciepły z pod serca — galareta słodko-kwaskowata...

Kochankiem Iwony był p. Kwieciński — to dosyć powiedzieć — grę swoją pełną życia, naturalności, parady, szlachetnego artyzmu, przypominał najświetniejsze czasy polskiej sceny...

Pan Feldman grał domowego bigota z umiarkowanym, spokojnym komizmem i z naturalnym humorem. Pan Szobert rubasznego majora, odegrał z wyróżniającym się talentem.

Inne role mniejsze bez zarzutu odegrali pp. Walewski, Trapszo, Dębicki, oraz panie: Sznage, Urbanowicz, Linkowska, Piasecka i inne.

Kto nie widział, jak tępym nożem zarzynać może jeden grający drugiego grającego na scenie, mógł zobaczyć podobną operację w *Lizce i Frycku*, jednoaktowej operetce, w której p. Rapacki (syn) popsuł tak dalece wszystko fertycznej Zimajerce, że Lizka jej znikła zupełnie...

Patrząc na p. Rapackiego, pomimo woli wybiegają na usta słowa: „po co ten się rzeczy chwyta?"

Z *Figlami Chochlika* to samo. Zkąd wyrwano tę operetkę, także o jednym akcie — nie wiemy, ale, że to jest bez najmniejszej wartości ramota, tylko gwoli kilku kupletów i dla jednej fikającej osóbki zkądciś wydobyta, to jest widoczne. Tu znowu p. Rapacki, syn, a jakże, grał anglika...

Nie — doprawdy — to *par force* robienie z kleryka komika, wygląda, doprawdy, na afront!... Patrząc na wypracowywania komiczne p. Rapackiego syna, pzypominają nam się „gorzkie żale"...

Chochlikiem płatającym figle, ma się rozumieć była pani Zimajer, no i dobrze płatała, ale, jednak, z panem Rapackim nic spłatać nie mogła. Ślicznie śpiewała i wdzięcznie grała młodą mężateczkę pani Skalska.

Przekonania papy, jest to jednoaktowa komedja z francuskiego tłomaczona, dana u nas w tym czasie po raz pierwszy. Osnuta przeważnie na tle politycznem, ale tak jakoś rozwlekłem i beztreściowem, że jest, co prawda, dosyć nudna, zwłaszcza, że erotyczny pierwiastek zaledwie w niej migoce i traktowany jest przez autora zbyt banalnie.

Prześliczna gra pani Kwiecińskiej przyczyniła się bardzo wiele do ożywienia komedji. Partnerem pani K. był p. Milewski — młody ten artysta robi duże postępy i nie ulega wątpliwości, że zajmie wkrótce wydatne stanowisko na scenie. — Panowie Zboiński i Feldman, pierwszy, jako poseł, drugi, jako mer, z całą starannością i talentem wyzyskali komizm w przedstawionych przez siebie postaciach.

Dom przy ulicy Narwańskiej farsa aż w 4. aktach lokalizowana na tle warszawskiem, a w rzeczywistości żadnem — należy do ostatnich, nie miłych wspomnień naszego letniego teatru, uniesionych na skrzydełkach świergocących wróbli w krainę zapomnienia. I najlepiej, podobno, będzie, gdy o tym *domu* i my zapomniemy żałując, jedynie, artystów, że w nim na cztery akta wynajęli mieszkania dla swoich talentów.

Dwanaście żon Jafeta, wodewil, czy operetka, ostatecznie wszystko jedno, grano ją w zimowym teatrze po raz pierwszy d. 15. b. m. Pan Jafet, jest mormonem, a właściwie awanturnikiem francuskim w Ameryce, a potem wraz ze ścigającemi go żonami dwunastoma w Paryżu. Materjał dla operetki nie zły, ale w *Dwunastu żonach Jafeta* coś ze „Dwunastu cór na wydaniu" przypominająca, niedołężnie wyzyskany, a muzyka Roger'a bezbarwna, usypiająco nudna, płaska, lub trywialna. Pani Zimajer, „bohaterka", w drugim akcie popisywała się znowu *wkładką*, kupletem o gabinecie przy zamkniętych drzwiach... Kuplet, istotnie, kwalifikujący się do drzwi zamkniętych, nawet, w jakiem nocnem *lupanarium*... Pani Zimajer z bulwarową arogancją kokotki, rzuciła go w twarz uczciwym kobietom... Nie ma nikt prawa winić artystki, gdy robi, lub śpiewa to, co jest w sztuce, ale wyszukiwać i starać się o *wkładki* i dodatki cuchnące wyuzdaniem publicznem — daruje pani Zimajer, ale to już najsilniejsze znamiona dekadencji talentu... A szkoda go poniewierać przy zachodzącem słońcu... Wodewil ten, prawdę powiedziawszy nikomu nie daje pola do popisu, choć gadania jest w nim bardzo dużo. Wymienić, jedynie, należy, iz pani: Skalska, Kasprowiczowa, Radwan, Czechowiczówna, oraz panowie: Myszkowski, Skalski, Laskowski, Gasiński i Kiczman w główniejszych rolach wyzyskali umiejętnie i z talentem wszystko. Role mniejsze, dostrajały się do całości.

Proskrybowana na wszystkich scenach *Niniche*, wznowiona została w lwowskim teatrze dzięki usilnym staraniom, artystycznemu smakowi i tendencjom estetycznym pani Adolfiny Zimajer, która, zdaje się, na twardej jesieni swojej aktorskiej karjery, doszła do tego przekonania, że na scenie nie potrzebne są nawet listki..

Niniche grana u nas była przed laty, a raz nawet zakazała ten wodewil policja, ale potem zakaz cofnęła wykreśliwszy tylko niektóre zbyt skandaliczne ustępy. Dotąd nie wolno tej sztuki grać w Londynie w Berlinie i w innych większych miastach.

Sądzimy, że wzmianka powyższa wystarczyć powinna za zwykłą recenzję, bo, doprawdy, cóż można dziś napisać o *Niniche?*... A co do gry oczywiście, wszyscy grali dobrze, a dopomagała im do tego niemało... golizna.

Wystąpił gościnnie, czy debiutował, bo nie wiemy, doprawdy, jak to nazwać, na lwowskiej scenie p. Marceli Trapszo. W chwili, gdy to piszemy, widzieliśmy go tylko w *Porwaniu Sabinek* w roli prowincjonalnego dyrektora teatru i w *Marcowym kawalerze*, w tytułowej roli. Wolimy obecnie, jak to Krasicki mówił, nic nie rzec — i zaczekać do dalszych występów. Co do pani Zimajer, to nie zgadzaliśmy się dawniej i teraz się nie zgadzamy na taką Pawłowę, jaką nam daje pani Zimajer. Formalne okiełznanie się w dykcji i w ruchach, wypacza i manierują przepyszną postać mądrej i rezolutnej wiejskiej kobiety, która pod względem dosadnej charakterystyki, prawdy życiowej, temperamentu i prześlicznej barwy ludowej — jest arcydziełem aktorskiem.

Dwa słowiki.

Chodzą szepty po gaju, po łące,
Chodzą, wabią, sen i spokój płoszą,
Z ziemią gwiazdy rozmawiają drżące,
Wszystko dyszy żądzą i rozkoszą..
Nagle cisza pada wielka pośród ziół i drzew:
Słowik zaczął swój natchniony, swój królewski śpiew.

W złotych gwiazdach zatonął spojrzeniem,
Śwista, dzwoni, zawodzi i grucha;
Zda się, boskiem porwany natchnieniem.
Razem z pieśnią odda niebu ducha...
Czasem tylko milknie dumny, a samotny ptak,
Nasłuchując, czy kto z druhów da istnienia znak.

I z daleka, z po za Wisły szarej,
Nadpłynęła od miasta pieśń druga;
Wśród zaułka, w kamienicy starej,
Klatkę z ptaszkiem wywiesił tam sługa...
Słowik miejski osowiały, bo rzucony w cień,
Jasne oczy ma wykłute, nie wie, noc, czy dzień.

Roztęskniony, wśród nocy bez końca,
Zimne mury za gąszcz leśną bierze;
Gaz jaskrawy — za promienie słońca,
Gwar przekupniów — za ptactwa pacierze...
Nie zna cichych zórz zachodu, nie zna rannych ros.
I modlitwę w każdej dobie odśpiewuje w głos.

Dwa słowiki teraz, jak dwa mistrze,
Natchnieni prześcigać się chciały —
W gaju tony brzmiały słoosze, czystsze,
Lecz zwyciężył — słowik ociemniały...
Pierwszy w śpiewie zamknął rozkosz i namiętny szał,
Drugi w niego swą tęsknotę i łzy swoje wlał.

Wiktor Gomulicki.

Praktyczne i pouczające wiadomości.

Mydło w płynie do wywabiania plam tłustych. Dobrego mydła zwyczajnego uskrobać i wrzucić je do butelki, zalać salamoniakiem, zmieszać potrząsając butelkę i takową zakorkować. Po rozpuszczeniu mydła rozrzedzić jeszcze salam niakiem do gęstości syropu. Płynem tym smorować tłuste plamy i obmywać zaraz letnią wodą kilkakrotnie. Używać jednak tylko na czarne, lub ciemne wełniane ubrania.

Wyniszczanie robactwa w wazonikach, w kląbach i na trawnikach. Doświadczoną jest rzeczą, iż zlanie ziemi wodą, w której moczono wpierw przez kilka dni liście orzechów włoskich, powoduje w krótkim czasie wychodzenie robactwa na powierzchnię ziemi, a wtedy może być robactwo wyzcierane i wyniszczone. Podobny skutek sprawia też i woda, w której namoczono sadzę.

Całe postępowanie to jest łatwe, tanie, prędko dające się dokonać i dla tego pod każdym względem godne upowszechnienia.

Suszone kartofle stają się coraz więcej poszukiwanym przedmiotem handlu, w tej, bowiem, postaci wielu cennych i praktycznych nabywają zalet. Przedewszystkiem za pomocą suszenia unika się psucia kartofli w niektórych latach, tak dla producentów dotkliwego. — W tej postaci, jako lekkie stosunkowo znieść mogą duże koszta transportowe, a więc i sprzedaż ich ułatwioną jest przez to znacznie, a jako prowiant dla wojska i okrętów są niezwykle dogodne. Do suszenia użytemi być mogą kartofle niekoniecznie piękne, unika się też niedogodności wynikających z przechowywania, a więc więdnięcia, zestarzenia, a co najważniejsza: spożywania kiełkujących już kartofli złego smaku i szkodliwych dla zdrowia. — Dla zakładów lub osób posiadających suszarnie przedstawia się jeszcze i ta dogodność, że suszenie kartofli rozpoczyna się dopiero po ukończeniu suszenia owoców. Suszarnia więc dłuższy czas czynną być może, przez co i koszta na urządzenie jej wyłożone prędzej się zwracają. — Najlepsze odmiany kartofli do suszenia są z gładką skórką i nie głęboko umieszczonemi oczkami, gdyż takie łatwiej obierać i mniej odpada na strużyny. Obieranie zwykle dokonywa się machiną, ale poprawić je trzeba ręcznie. Po obraniu kartofle myje się w wodzie, tnie na plasterki i natychmiast wrzuca do mocno słonej wody, w której pozostają około 2 minut. Przez to zatrzymują barwę jasną, nie czernieją na powietrzu. Po wyjęciu suszy się je na drucianych sitach podobnie jak jabłka w 80—90 stopn. ciepła: suszenie tylko trwa dłużej, gdyż twardsye od jabłek po ususzeniu być winny. Przyczyną tego jest, iż mączka, której wiele w kartoflach, łatwiej zmianom poźniejszym uledz może, niż cukier, w który jabłka obfitują. Do przechowywania i pakowania suchych kartofli służą skrzynie lub beczki, w których się susz mocno ubija. — Kartofle takie w smaku niczem od świeżych się nie różnią, należy tylko przed użyciem moczyć je w miękkiej wodzie 12 do 15 godzin.

Nowy sposób długiego konserwowania masła w stanie zupełnej świeżości. P. Pierre Grosfils w Vervier przedłożył tamtejszemu towarzystwu: „Societé d'encouragement de Vervier" nader ciekawy opis wynalezionej przez siebie metody skutecznego przez długi czas konserwowania masła. Drogę, na której doszedł nakoniec do zamierzonego celu, w ten sposób opisuje.

Najprzód do jednego kilograma masła dodał dodał po jednym gramie kwasu salicylowego, jako środka antyseptycznego, ale przekonał się, że masło po niejakim czasie mimo to się pogorszyło. W przypuszczeniu, że przyczyna tego niepomyśl-

nego wypadku leży w tem, iż kwas rzeczony utracił swe własności antyseptyczne w skutek krystalizacji swych cząstek nierozpuszczonych, starał się przez liczne próby i doświadczenia wynaleść środek, któryby nie dozwalał takiej krystalizacji. Znalazł go wreszcie w kwasie mlecznym, posiadającym między innemi i tę własność, że kwas salicylowy rozpuszcza zupełnie i wstrzymuje krystalizację jego cząstek stałych. A że przytem posiada w wysokim stopniu, jak i kwas salicylowy, ten przymiot, że jest środkiem antysepicznym, a zarazem nieszkodliwym dla zdrowia ludzkiego, z tego powodu nadaje się bardzo dobrze do konserwowania masła.

Odpowiedzi od Redakcji i Administracji.

Pan L. D. w Krakowie. Przeczytamy i zobaczymy.

Pan G. we Lwowie. W bibliotece Ossolińskich

Pan R. w Paryżu. Trzeba się udać wprost do dyrekcji.

Autorom wierszy: „Do lubej", „Jesień życia", „Kabała" i „Pójdź tu!" — utwory panów drukowane nie będą.

Wychowaniec.

Powieść z angielskiego

przez

Waltera Besant.

(Ciąg dalszy — patrz Nr. 26).

Po starych, ciemnych, chwiejących się schodach szedł za nią na drugie piętro, nie mogąc przez całą drogę oprzeć się obawie, że słaba poręcz ustąpi pod naciskiem jego niepewnej wśród ciemności ręki i spadną oboje w otchłań niezbyt głęboką, lecz najeżoną mnóstwem węglów i murów.

Nakoniec znaleźli się na niewielkiej przestrzeni bez okna, gdzie drzwi kilkoro prowadziło do mieszkań biednych lokatorów. Staruszka otwarła z nich jedne i stanęli oboje w maleńkiej, nizkiej komorce, której jedyne okno zasłaniał mur wystający sąsiedniego domu, a całe umeblowanie stanowiły zepsuty piecyk, garnczek i kubek wyszczerbiony. Nic więcej nie było tutaj pod nagiemi ścianami, nic, ani łóżka, ani stołka nawet, trochę tylko wiórów w jednym kącie, zastępujących posłanie. Nic zresztą.

— Widzisz pan — zaczęła znowu gorączkowo. — To jest mój pokój. Można w nim porozmawiać, nieprawdaż?

— Boże! — szepnął Laurenty; — nie miałem wyobrażenia...

— Pewno — odparła drżącym ze wzruszenia głosem; — ja sama myślę, że niewielu ludzi jest chyba tak biednych na świecie. Biedniejszych nie ma już pewno.

— Biednych! — powtórzył młodzieniec, — ależ to nędza! Więc nawet łóżka nie macie do spania i nikogo, nikogo z życzliwych?

— Nikogo — powtórzyła, jak echo. — Nikt mię nie zna i nikt nie wie o mnie na świecie. Jestem zupełnie sama w tym grobie. W nocy śpię przynajmniej, w dzień, kiedy nie mam roboty, chodzę po ulicach.

— A z czego żyjecie?

— Czasami coś zarobię, umiem pracować, mogę prać, myć, gotować, szyć nawet, tylko trudno teraz o robotę. Tyle jest biednych kobiet, które jej szukają! Gdybym miała codzień robotę, nie cierpiałabym nędzy, potrzebuję tak mało! Nieraz cały tydzień nie piję gorącej herbaty. Jeżeli mam chleb, to przynajmniej nie jestem głodna. Dzisiaj nie miałam chleba, ale znalazłam skórkę na ulicy, mogę znaleść i drugą. Chleb czasem znajduje się na ulicy.

— Ale jutro?

— Jutro? Eh, przecież pan mi zostawisz cokolwiek — zaśmiała się prawie wesoło.

Laurenty drgnął na dziwny dźwięk tego śmiechu.

— Tak — rzekł, — zostawię wam trochę pieniędzy, ale gdy je wydacie?

— Raz na tydzień zarabiam szylinga za zrobienie porządku w kościele św. Leonarda.

— Ależ za szylinga przez tydzień nie wyżyjecie przecież!

— Za ten pokój płacę dwa szylingi, ale jestem już dłużna i pewno mię wyrzucą niedługo.

— I nie macież nikogo? nikogo?

— Mam krewnych, lecz nie mogę im się pokazywać. Altea Indagine nie znajdzie mię teraz, a zresztą nie mam nikogo.

Laurenty patrzył na mur szary, zasłaniający okno i szeptał do siebie półgłosem: to straszne, straszne!

— A gdybyś pan wiedział, jak to łatwo dość do takiej nędzy — zaczęła znowu, siadając na wiórach, jak gdyby nie miała już siły stać dłużej. — Jak strasznie łatwo! Każdej dziewczynie mogłabym ztąd wskazać tę krótką, lecz straszną drogę.

— Jak się nazywacie? — zawołał nagle młodzieniec.

— Jak się nazywam? — powtórzyła zwolna. — Ludzie nazywają mię panią Sincleir. Dlaczego nie? Tak dobre to imię, jak inne.

— Mąż umarł?

— Nie miałam go nigdy — odparła, nie patrząc na niego. — Nie mów tylko Altei Kornelia mię nazywa wstydem rodziny. Słusznie się mnie wstydzą, bo rodzina moja była zawsze szanowaną.

— Kto jesteś, kto jesteś? — zawołał Laurenty, dziwną przerażony myślą. — Powiedz mi natychmiast, kto jesteś!

— Po co? — szepnęła, spuszczając głowę na piersi. — Po co? Rodzinę moją szanują wszyscy, — Kornelia mówi, że nikt w świecie o mnie wiedzieć nie powinien. Nie mów pan nikomu, nikomu. Nie wiesz, ile nieszczęścia mógłbyś tem sprowadzić.

— Nie bój się niczego i powiedz mi zaraz twoje imię. Jestem przyjacielem Altei i możesz mi zaufać. Nic ci się nie stanie.

— Mnie? A cóż mi się jeszcze stać może? Ale dla nich...

— Powiedz mi, powiedz, proszę! Nikomu nic się nie stanie, nikt się nie dowie odemnie, nikt, ani nawet Altea.

— Altea... Nie dziw się pan, że ją tak nazywam, znałam niegdyś jej ojca przed trzydziestu laty, kiedy z Julią i Klaudyą...

— Boże! — szepnął Laurenty. — Przez litość, skończ prędzej, kobieto! Muszę wiedzieć natychmiast, kto jesteś.

— Co panu jest? — spytała nawzajem zdziwiona, dlaczego wyglądasz tak dziwnie? Co cię to może obchodzić, kto ja jestem?

— Och! — jęknął, — gdybyś wiedziała!

— Jeżeli mi pan przyrzeczesz, że nie powiesz o tem Kornelii...

— Przyrzekam ci, że się odemnie nie dowie.

— Bo widzisz pan, ona robiła dla mnie, co mogła. Ma czasem gorzki język, ale nie zawsze przecież, ostatniej soboty była tak dobrą! Przyniosła chleb dla mnie z domu i rozmawiała o dawnych czasach. Floro — rzekła, — tak dawno nikt nie nazywał mię Florą, że zaczęłam płakać.

— Flora! — powtórzył zbladłemi ustami Laurenty. — Więc ty jesteś Florą? Jedyną siostrą mojej matki! O, Boże! ty jesteś Florą!

Ale kobieta z krzykiem upadła na ziemię i twarz zasłaniając rękami, szlochała głośno, drgając całem ciałem.

Laurenty pochylił się, aby ją podnieść, pamiętał tylko o jej nędzy, którą miał przed oczami

— Jestem synem twojej siostry — mówił, — twoim siostrzeńcem. Nie płacz tak, nie płacz, wszystko złe minęło. Dzięki Bogu, znalazłem cię przecież! Nie płacz. Dam ci pieniędzy i suknie, i lepsze mieszkanie. Zawiozę cię do mojej matki. Będziesz jeszcze szczęśliwą, ty biedna i opuszczona. Altea przyjdzie do ciebie i odpoczniesz wreszcie, po wszystkiem, co wycierpiałaś w życiu.

Ale naprożno starał się ją uspokoić, biedna kobieta tem ciężej czuła nędzę swoję, tem staranniej kryła twarz w dłonie, aby nie spojrzeć mu w oczy.

Nakoniec podniósł ją z ziemi i zniósł prawie ze schodów na świeże powietrze. Czyż trzeba dodawać, że w parę godzin potem ubrana i nakarmiona spoczywała na miękkiem łóżku hotelowem, nie przestając płakać i zakrywać oczu rękami, chociaż spojrzenie siostrzeńca czuwało nad nią z miłością i troskliwością serdeczną.

Czy skończą się dla niej, istotnie, dni smutku i nędzy, czy materjalny dobrobyt zatrze w jej pamięci bolesne wspomnienia przeszłości?

X.

Spotkanie.

Dzień był ciepły, pogodny, słoneczny, jakiemi darzy nas jesień urocza, pragnąc może, abyśmy żegnali ją z żalem i z większą wspominali tęsknotą podczas zimowej słoty i zawiei.

W parku Richmond, nad wielkiem jeziorem, siedziało znajome nam towarzystwo, składające się z Kasi, Altei i Laurentego. Przed nimi roztaczał się piękny, rozległy krajobraz, ubarwiony świeżą zielonością, urozmaicony błękitem wody, mostem i malowniczemi grupami drzew i kląbów.

Wszyscy troje siedzieli w milczeniu, pod wpływem wrażeń, nie mając ochoty do zwykłej, codziennej rozmowy. Altea odezwała się pierwsza.

— Chciałabym — rzekła, — ażebyśmy mogli pozostać tutaj nazawsze, żeby słońce nie zaszło i nic nie zmieniło się w koło nas. Zdaje mi się, że nie zapomnę nigdy tej godziny, a jednak za chwilę, wkrótce, wszystko skończyć się musi. Zbudzimy się znowu z jednego snu pięknego. Czemuż nie jestem malarzem? Wraz z błękitem nieba i wody, ze świeżością tej cudnej zieleni utraciłabym może i wrażenie, jakie dziś na mnie wywiera.

— Za godzinę będziemy znowu na Bank-Side — dodała Kasia smutnie, — i wszystko przeminie. Dlaczego tak poważnym jesteś dziś, panie Waller? Czy stało się co złego?

— Nie — odparł z uśmiechem, — zamyśliłem się tylko o rzeczy przyjemnej dla mnie i dla wielu innych blizkich mi i drogich osób.

— Chciałabym wiedzieć — zaczęła znów Kasia, po dłuższej chwili milczenia, — po co pan właściwie i jakim sposobem trafiłeś na Bank-Side? Dawniej nie było to dla mnie tak dziwnem, lecz dzisiaj, a gdy się przekonałam, jak szeroki i piękny jest świat inny.

— Bank-Side jest malownicze, zwłaszcza widok na rzekę, a przytem to miejsce pełne historycznych wspomnień i duchów z przeszłości.

— Nie przybyłeś pan przecie, aby się poznać z duchami, nie mogłeś wiedzieć w Australji, że Bank-Side jest malowniczem.

Twarz Laurentego spoważniała bardziej, podniósł na dziewczę głębokie spojrzenie i przez chwilę nie spuszczał z niej wzroku.

— Czy wiesz, Kasiu — rzekł wreszcie, — że przyjechałem umyślnie z Australji, aby poznać ciebie?

— Mnie?!

— Ciebie, twego ojca i twoją rodzinę. Chciałem się także przekonać o wielu innych rzeczach, nie wszystko jednak poszło podług mej myśli. Przez chwilę żałowałem nawet, że przyjechałem tutaj; byłem wtedy wielkim egoistą, chciałem od was uciekać. Na szczęście dobry anioł zwrócił mię z drogi i teraz mam nadzieję, że weselszym będzie mój powrót do domu.

Dziewczęta milczały obie, nie patrząc na niego.

— Nastąpi to niedługo — odezwał się Laurenty.

Kasia spojrzała nań smutnie.

— Odjedziesz pan — rzekła cicho — i zapomnisz o nas.

On uśmiechnął się znowu.

— Nie wiesz, Kasiu, co ze mnie zrobiły te trzy miesiące, jakie spędziłem w Londynie. Przybyłem tu dla zabawy, trochę przez ciekawość, trochę dla zadowolenia drogiej mi osoby. Byliści mi obcy i obojętni zupełnie. Patrzyłem na was okiem zimnego krytyka. A dzisiaj!... Tu pośród was życie z nowej, nieznanej ukazało mi się strony. Nauczyłem się wiele, po części, innym stałem się człowiekiem, wiem co to znaczy rodzina, wiem co to znaczy kochać...

Nie patrzył na Alteę i ona wzrok miała utkwiony w przestrzeń daleką, lecz na dźwięk ostatniego wyrazu piękne jej oczy zaćmiła mgła wilgotna.

— Powiem ci swoję tajemnicę, Kasiu — odezwał się nagle po chwili milczenia, — powiem tobie pierwszej, ponieważ jesteś jedynym moim przyjacielem.

— Powiedz pan — szepnęło dziewczę, patrząc nań z zajęciem.

— Będzie to moja spowiedź — zaczął z powagą wielką. — Początkowo nie miałem zamiaru robić przed wami żadnej tajemnicy, lecz widząc, ze moje nazwisko nic wam nie przypomina, nie starałem się wyjaśnić kim jestem i tak pozostało dotąd.

— Ależ my wiemy, że jesteś pan synem Dawida Waller, pierwszego ministra w Nowej Południowej Walji.

— Tak, ale to nie wszystko. Moja matka, Kasiu, jest cioteczną siostrą twego ojca.

— Och! — zawołała Kasia, zrywając się z miejsca i składając ręce, jak do modlitwy. — Ciotka Kornelja powiedziała kiedyś, że jesteś synem Lucji, lecz nikt na to nie zwrócił uwagi. Więc jesteś moim kuzynem, moim prawdziwym kuzynem!

On ujął obie jej ręce i serdecznie patrzył w rozradowaną twarzyczkę.

— Musisz mię teraz, Kasiu, nazywać po imieniu — rzekł wreszcie. — Ale nic nie mów Flavji, ani nikomu jeszcze, niechaj to będzie sekret między nami.

— Laurenty! — zaśmiała się trochę zmieszana. — Naturalnie, że cię tak będę nazywała. Jesteś moim kuzynem. A twoja matka jest prawdziwą lady, nieprawdaż?

— Naturalnie.

— Jesteście bogaci i mieszkacie w dużym i pięknym domu. Twoja matka jest moją ciotką, a ty moim kuzynem!

— Mieszkamy w dużym domu, gdzie oczekuje na ciebie wesoły pokoik. Napisałem o tem do matki, że przyjedziesz ze mną. Tam zapomnisz o starych smutkach i zaczniesz życie nowe, szczęśliwe.

Kasia spuściła głowę i umilkła. Wszyscy troje pogrążyli się w myślach i długi czas żadne nie przerywało błogiej, uroczystej ciszy. Nakoniec Laurenty pierwszy ocknął się z rozmarzenia.

— Słońce już zaszło — rzekł cicho, — i musimy opuścić to piękne ustronie. A oprócz tego czuję, że dobry obiad będzie nam wszystkim smakował. Pójdź, Alteo, już chłodno.

Nazwał ją po imieniu, jak gdyby miał prawo do tego, a ona przyjęła to spokojnie.

Szli razem szerokiemi ulicami parku, a oczy Kasi płonęły dawno niewidzianym blaskiem. Co chwila podnosiła je na Laurentego.

— Tak mi przyjemnie, że jesteś moim kuzynem — mówiła. — Pojadę z tobą do Australji. Czy tylko matka twoja będzie mi rada naprawdę?

Zaprowadził je do restauracji »Pod gwiazdą« i zajęli miejsca w dużym pokoju, z okien którego był widok wspaniały na rzekę. Mało tu było dziś gości, może z powodu dość wczesnej godziny, siedzieli zdala od nich przy stolikach, nie zwracając jedni na drugich uwagi. Nasza trójka nie była wesołą, chociaż szczęśliwszą może, niż podczas pierwszej wycieczki. Śmieli się rzadko, choć twarze ich były pogodne, a spojrzenia pełne uczuć głębokich, niewypowiedzianych słowami.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Fr. Ks. Kowaliszyn. Z drukarni W. A. Szyjkowskiego ul. Kopernika l. 5. Telefon 117.

Dodatek I. do „Gońca i Iskry“.

Lwów, dnia 11. Października 1891 r.

Różne pomysły — z różnych stron wytrysły.

Mahabarata, Ramajana i tym podobne olbrzymie fragmenty są to duchowe kości mamuta, które spoczywają na szczytach Himalai.

Nie prędzej pojmujemy ruiny, aż póki się sami nie staniemy ruinami.

Jest wielu takich, którym się zdaje, że znają dobrze ptaka, ponieważ widzieli skorupkę jaja, z którego się *wykłuł*.

„Oddaj Bogu, co boskiego, a cesarzowi, co cesarskiego“. Tyczy się to, jednak, tylko oddawania, ale nie brania.

Tak, jak rozsądni ludzie, są często bardzo głupimi, tak głupcy są czasem bardzo mądrymi.

Czytałem nudną książkę — zasnąłem nad nią — śniło mi się, że ją czytam dalej — z nudów obudziłem się i to trzykrotnie.

Piękna panna H. wyszła za starego A. — Głód zmusił ją do tego — miała do wyboru między nim, a śmiercią — która jest jeszcze chudszą i jeszcze brzydszą. — Stary! bądź dumnym, że oddała pierwszeństwo twemu szkieletowi.

Panna Z. tak tańczy, jakby jechała na ośle.

W jednej wsi *był wół*, który się tak postarzał, że, wreszcie, zdziecinniał; gdy go zabito, mięso z niego miało smak cielęcia.

Panie Kolumbie! odkryj nam pan jeszcze jedną Amerykę.

Panie Thais! podpal pani jeszcze jedno Persepolis.

Panie Jägerman! wybuduj pan nam we Lwowie znowu parę „Jägermanówek!“

(Co raz gorzej — co raz drożej — bieda teraz we Lwowie — po co nam Jägermanowie? *(Przyp. Red.)*

Brylant, mógłby się stać zarozumiałym, gdyby go jaki poeta przyrównał do ludzkiego serca.

Uśmiechnięty chód.

Z niego tryska głupota.

Dama, która zaczynała przestawać być młodą.

Pisała listy anonimowe podpisane: *„Piękna dusza“*

On się tak chwali, że aż kadzidło podrożało.

Pięknie fryzowane, długie myśli.

Czy była cnotliwą — nie wiem, była, jednak, zawsze brzydką, a brzydota u kobiet, jest już pół drogi do cnoty. *N* H_3

Nadesłane.

Kawiarnia **Maksa Kowarzyka** *w Krakowie*, przy ulicy Poselskiej liczba 8, urządzona z komfortem, zaopatrzona w wielką ilość dzienników krajowych i zagranicznych, ze służbą bardzo uprzejmą, oraz cenami umiarkowanemi, poleca się Szanownej P. T. Publiczności. (5445 3—1)

Pragnącym tanio i gustownie ubierać się, polecamy znany już powszechnie magazyn krawiecki p. **Wojciecha Stachowicza** *w Krakowie*, który posiada wielki wybór zawsze świeżych i modnych materjałów na ubrania męzkie, oraz i dla wojskowych, z fabryk krajowych i zagranicznych. — Pan Stachowicz rozporządzając znacznymi środkami materjalnymi i, jako fachowiec zawodowy, jest w stanie nawet najwybredniejszym wymaganiom zadość uczynić. Przeto polecamy P. T. Publiczności popieranie swoich, a unikanie zagranicy, która za drogie pieniądze daje najlichsze towary, chociaż się w galicyjskich dziennikach szumnie reklamuje. (5446 3—1)

Zwraca się uwagę P. T. Publiczności na urządzoną z komfortem i wszelkiemi wygodami kawiarnię p. **Piotra Porzyckiego** *w Krakowie*, w Rynku, zaopatrzoną w wiele dzienników, a przy szklance wybornej kawy, nie jednemu przyjemnie czas zbiegnie, kto do tej kawiarni zagości. Pan Porzycki prowadząc restaurację podczas sezonu kąpielowego w Iwoniczu, dał nieraz dowody swej rzetelności i, jako uczciwy przemysłowiec, zasługuje na powszechne uznanie i poparcie. Przy tem nadmieniamy, że w kawiarni pana Porzyckiego, ceny są umiarkowane, i czystość wzorowa. (5447 3—1)

Hotel Krakowski w Krakowie należy niezawodnie, do najwygodniejszych i z największym komfortem urządzonych. Zarząd tego hotelu na każdym kroku przestrzega wzorowej czystości porządku i baczy, aby goście, ani na sekundę nie byli pozbawieni wygód i troskliwej obsługi. Wszystko w tym hotelu tak jest urządzone, że na każdym kroku widać ład, czystość, porządek, ujmującą grzeczność służby i zarządu, i troskliwość głównego właściciela.

Hotel Krakowski w Krakowie posiada też u siebie najlepsze łazienki, urządzone, prawdziwie, po europejsku. Restauracja w miejscu doskonała. Wszystkim, którzy pragną mieszkać wygodnie i elegancko, a nie chcą nadwyrężyć kieszeni, jak to się gdzieindziej dzieje, radzimy **Hotel Krakowski w Krakowie** położony w najpiękniejszej części miasta, bo tuż przy wspaniałych Plantach. (5159-15-9)

Znany powszechnie **Hotel Polski w Krakowie** przy ul. Florjańskiej, przez nowonabywcę p. Girtlera, został odświeżony i podług wszelkich wymagań urządzony. Mieszkania w tymże hotelu czyste i bardzo starannie utrzymywane, służba na każde zawołanie chętna i uprzejma, zaś **ceny mieszkań nadzwyczaj umiarkowane**, na co baczną uwagę P. T. Publiczności zwraca się. (5415-4-4)

Przed rokiem założony we Lwowie przy placu Kapitulnym l. 3 wielki magazyn platerowanych srebrnych wyrobów pochodzących ze sławnej warszawskiej fabryki Józefa Fraget cieszącej się powszechnem uznaniem bo wyroby z tej fabryki pochodzące, w całej Europie, odznaczają się niezwykłą trwałością i gustem w wykonaniu, nigdy nie czernieją a zatem przewyższają tak zwane chińskie srebro, które jest znacznie droższe od powyższych wyrobów platerowanych. Pan Michał Herschthal zastępca firmy Józefa Fraget z Warszawy, a kierownik magazynu we Lwowie, sprowadził obecnie wiele nowych przedmiotów, jakie w żadnym podobnym magazynie nie znajdują się, również posiada wielki wybór przyborów kościelnych i cerkiewnych, w niezwykłem wykonaniu i poleca takowe po cenach umiarkowanych za gotówkę, a nawet na spłaty ratami. Wszedłszy raz w stosunki z firmą powyższą, z pewnością każdy zadowolonym będzie, albowiem kierownictwo tejże spoczywa w rękach zacnego i rzetelnego człowieka, który już niejednokrotnie dał się poznać szerszej publicznosai całej Galicji i Bukowiny. Nadmienia się, że wyroby Frageta są tak doskonale platerowane srebrem, iż urząd menniczy myli się i pragnie kłaść na nich stampiglję prób. 5433—6—3.

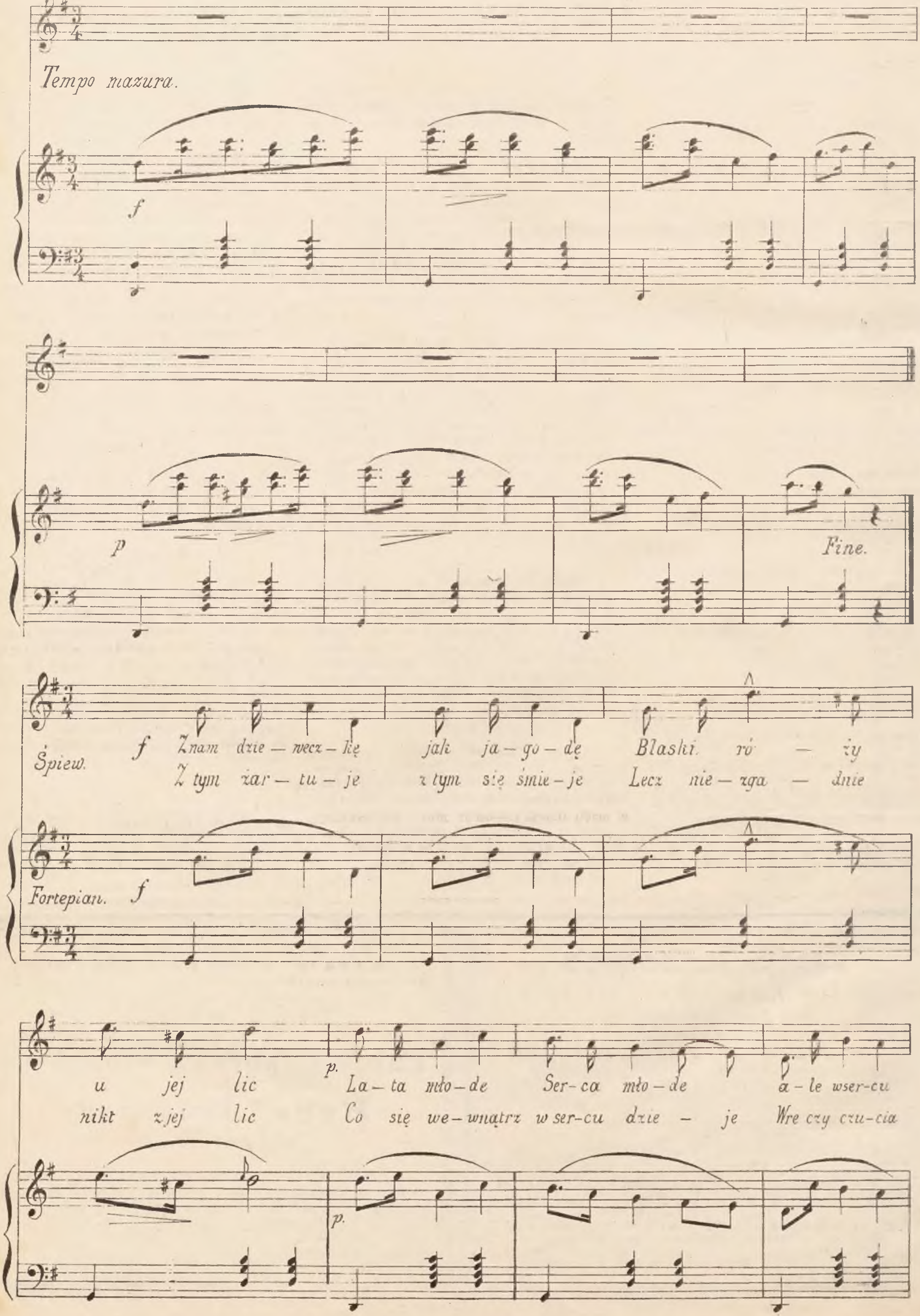
Wielka korzyść dla dostawców obuwia dla c. i k. armji, którzy mogą sprowadzać już gotowe, najdokładniej przykrojone skóry na obuwie z pierwszej Galicyjskiej parowej fabryki obuwia **Bronisława Dobrzańskiego w Krakowie przy ulicy Starowiślnej l. 20.** Fabyka powyższa posiada wielki skład różnorodnych skór, gotowych przykroi, cholewek, gum, podszewek, przędzy, sztyflów, gwoździ, kołków, kopyt i t. p. przyborów szewskich, **po bardzo umiarkowanych cenach.** Wszelkie zamówienia uskuteczniają się bardzo szybko i rzetelnie. (5417-6-3).

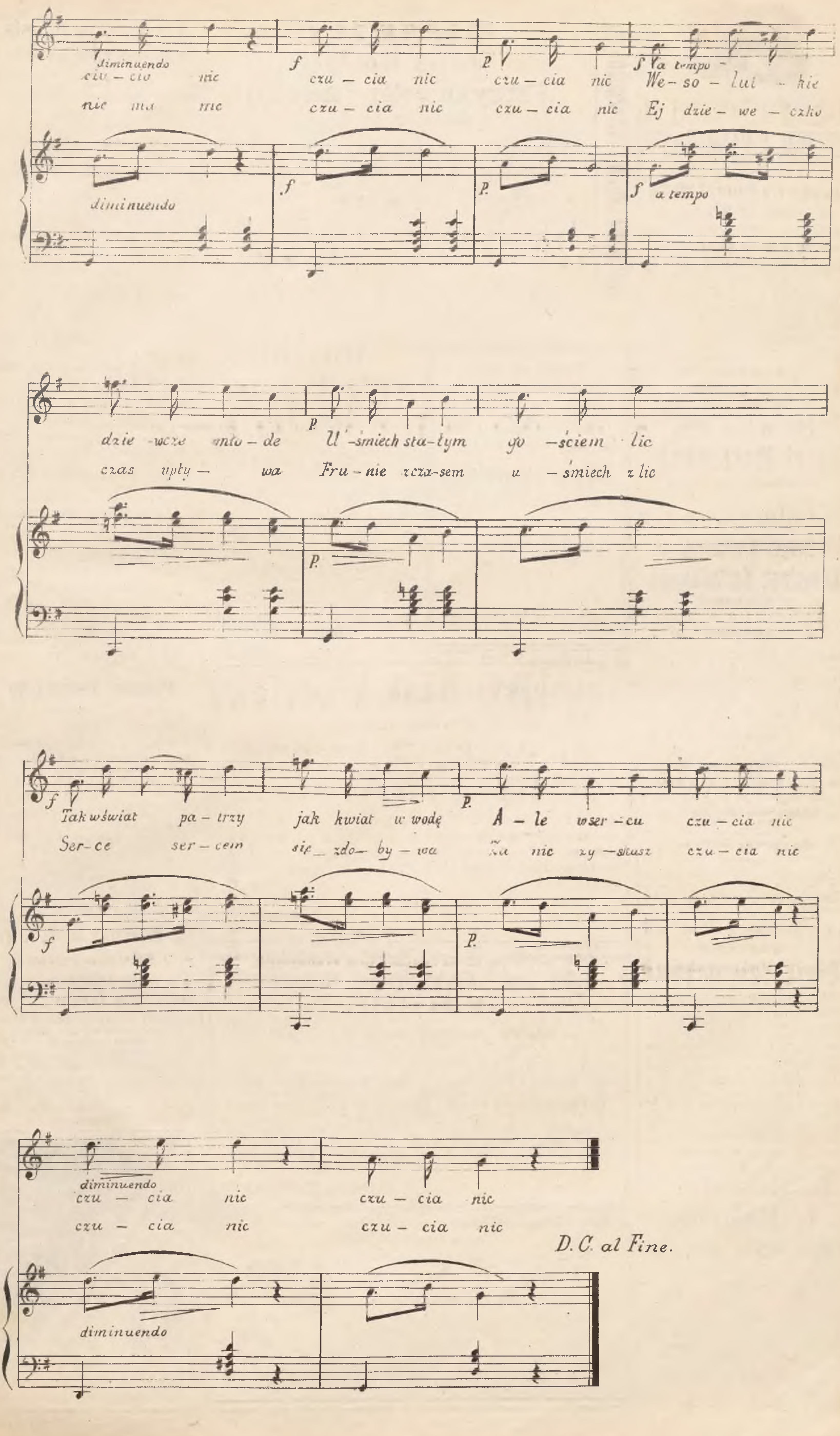
Bardzo starannie czysto i smaczny chleb, oraz wszelkie inne pieczywo, wyrabia p. *Fedorowicz*, właściciel piekarni *w Szczawnicy*, na co baczną uwagę zwraca się Szanownej P. T. Publiczności. 5430—4—4.

Mazurek

Śpiew z towarzyszeniem fortepianu.

Słowa: Szczęsny Zahajkiewicz.
Muzyka: J. Czubski.




diminuendo
f
p
f a tempo
czu – cia nic czu – cia nic czu – cia nic We – so – lut – kie
nic ma nic czu – cia nic czu – cia nic Ej dzie – we – czko
diminuendo
a tempo
dzie – wcze mło – de U – śmiech sta – łym go – ściem lic
czas upły – wa Fru – nie z cza-sem u – śmiech z lic
Tak w świat pa – trzy jak kwiat w wodę A – le w ser – cu czu – cia nic
Ser – ce ser – cem się zdo – by – wa Za nic ży – słusz czu – cia nic
diminuendo
czu – cia nic czu – cia nic
czu – cia nic czu – cia nic
D. C. al Fine.



MUZEUM i PANOPTIKUM

połączony z

menażerją amerykańską

we Lwowie,

przy ulicy Słonecznej

co dzień do widzenia.

Wstęp do Panoptikum 15 ct., dzieci do 10 lat 10 ct., do II. i III. oddziału (dla dorosłych) od osoby 15 ct., do wszystkich 3-ch 30 ct., wojskowi od feldfebla 15 ct.

Do Menażerji I. miejsce 30 ct., II. miejsce 15 ct. Codzień o godzinie 4. przedstawienie i karma, w niedzielę i w piątek po 2 przedstawienia o godzinie 4. i o 8. wieczór.

(5450-?-1) Z szacunkiem:

A. Koczka, właściciel.

Salomona Hut

Hotel Warszawski

w Krakowie, ul. Dietla

urządzony z konfortem i wygodami z dobrą restauracją, poleca się P. T. podróżującym. (5448-8-1)

DRUKARNIA

Antoniego Koziańskiego

w Krakowie

przeniesioną została z ulicy Szewckiej **na ul. Karmelicką l. 4:**

zaopatrzona w maszyny ręczne i pospieszne z motorem gazowym, posiada wielki zapas papieru drukowego i listowego, czcionek najnowszego kroju i podejmuje się wykonania wszelkich druków różnokolorowemi farbami i bronzami. — Wszelkie roboty drukarskie wykonuje spiesznie, gustownie i po cenach najumiarkowańszych — Zarząd drukarni podejmuje się tłomaczeń wszelkich języków.

Wykonuje bilety wizytowe od 30 ct. i wyżej za 100 sztuk na poczekaniu.

Zamówienia zamiejscowe uskutecznia odwrotną pocztą. 5446-2-1

Otwarcie Biura.

Na mocy upoważnienia wysokiego c. k. bukowińskiego Rządu krajowego z dnia 20. lutego 1891 r. do l. 1412 otworzyłem (5407 3-3)

w Czerniowcach, ul. Główna l. 17

koncesjonowane

Biuro dzienników.

Wszelkie czasopisma krajowe i zagraniczne, zarówno w drodze przedpłaty po cenach oryginalnych, jako też w pojedyńczych egzemplarzach dostarczać będę P. T. Publiczności — na żądanie z bezpłatnem odnoszeniem do domu — punktualniej i wcześniej, aniżeli to czyni c. k. poczta.

W przekonaniu, że przedsiębiorstwo moje pod każdym względem odpowie potrzebom i wygodzie P. T. Publiczności, mam nadzieję, iż będę zaszczycony licznemi zleceniami.

Z poważaniem

L. Horowitz

właściciel I. konces. Biura dzienników w Czerniowcach.

L. Bojarski

zegarmistrz w Przemyślu

na Bramie

obok kościoła OO. Reformatów

poleca

wielki wybór zegarów i zegarków wszelkiego rodzaju, najnowszych konstrukcyj złotych i srebrnych. Reparacje wykonywa jak najdokładniej pod gwarancją, spełniając każde zlecenie P. T. Odbiorców, ku zupełnemu zadowoleniu. (5399 4—4).

Galicyjski wyrób! Baczność!

Baczność!

Józef Köhler

Fabryka rolet i żaluzyj

w Korczynie koło Krosna,

poleca wszystkim pp. budowniczym, budującym, jakoteż P. T. Publiczności **rolety** i **żaluzje** w najlepszem wykonaniu. Rolety i żaluzje są zupełnie gotowe, że można je zaraz na okna powiesić.

Rolety od 90 ct. do 3 złr. za □ metr.

Żaluzje od 3 złr. 20 ct. do 5 złr. 50 ct. za □ metr.

Jako **nowość** polecam **ścienne dywany**, sporządzone misternie na drewnianych pręcikach, których okiem nie można dojrzeć. Bardzo praktyczne są do sypialnych pokoi. **Dywan** szer. 80 długi 200 ctm. za **3, 3·50, 4·50 i 6 złr.** Wzory i cenniki do dyspozycji. Wzory uprasza jednak franco zwrócić. O łaskawe względy uprasza

Józef Köhler.

Ajentów przyjmuje się zawsze pod korzystnymi warunkami.

Moi zastępcy są uprawnieni przyjmować 10% zadatku, upraszam jednak na karcie zamówienia dać sobie potwierdzić kwotę, jakoteż część, która mnie przypada, wyraźnie wypisać, ażeby nie mieć ze stronami żadnych nieprzyjemności. 5329—14—7.

Uwiadomienie.

Niniejszem mam zaszczyt zawiadomić Szan. P. T. Publiczność, że otworzyłem w domu p. Aschkenazego **przy ul. Franciszkańskiej w Przemyślu**

Główny skład lamp

wiedeńskich Ditmara,

porcelany karlsbadzkiej, oraz wszelkiego gatunku szkła, po cenach najumiarkowańszych. — Polecając się łaskawym względom P. T. Publiczności,

kreślę się z szacunkiem

Isaak Oberländer.

(5406 12—4).

Buljon

z samego drobiu. Podkowa **pół kilowa** po 4 złr. 90 ct. (póki mały zapas starczy). — Buljon wyrabiany na sposób Liebiega, zwany **Wołynia,** przewyższający go pożywnością (co świadczy rozbiór chemiczny). Puszka 1 kilowa 7 złr. 50 ct., pół kilowa 3 złr. 85 ct. — **Próbki puszka 1 złr.**

Nr. 00 z truflami 7 złr. 50 ct. kilo.

Nr. I. wyborny 6 złr. 50 ct. kilo.

Nr. II. doskonały 5 złr. 50 ct. kilo.

W handlach krajowych buljon **nasz tylko** w formie **podkowy** z krzyżem sprzedają.

Zarząd Dworu Łapszyn Brzeżany.

5374—st.—7.

Dr. Eugeniusz Kołaczkowski

otworzył kancelarję adwokacką w Złoczowie.

5376—5—5.

Galicyjski Bank kredytowy

począwszy od 1. lutego 1890 roku wydaje

4% Asygnaty kasowe

z 30-dniowem wypowiedzeniem i

3½% Asygnaty kasowe

z 8-dniowem wypowiedzeniem.

Wszystkie zaś znajdujące się w obiegu **4½% Asygnaty kasowe** z 90-dniowem wypowiedzeniem oprocentowane będą **począwszy od d. l. maja 1890. po 4%** z 30-dniowym terminem wypowiedzenia

Lwów dnia 31. stycznia 1890.

4968—st. **Dyrekcja.**

(Przedruk nie będzie opłacony).

Hotel pod „Arcyksięciem Reinerem“

w Brodach.

Niniejszem mam zaszczyt oznajmić P. T. Publiczności, iż nabyłem na własność **hotel pod „Arcyksięciem Reinerem“** i urządziłem takowy z wszelkiemi wygodami na sposób zagraniczny.

Meble i pościel sprowadziłem zupełnie nowe, z pierwszorzędnych magazynów wiedeńskich, zmieniłem we wszystkich 18 pokojach drzwi, okna, posadzki i piece. Wzorowa czystość i komfort na każdym kroku, postarałem się również o sumienną i skrzętną służbę. Przy tem nadmieniam, że w hotelu znajduje się powszechnie znana *wyborna restauracja* **p. Szymona Grünberga.**

Dołożywszy wszelkich starań, aby urządzeniem i niskiemi cenami hotel mój postawić na stopie pierwszorzędnej, mam niepłonną nadzieję, że tem potrafię sobie zaskarbić liczne względy u Sz. P. T. Publiczności.

(5441—4—2). Z szacunkiem

Franciszek Piotrowski.

Zakład introligatorski

Józefa Tillingera

we Lwowie, przy ul. Karola Ludwika l. 5.

przyjmuje: (5291-st.-6).

wszelkie roboty introligatorskie i galanteryjne, tak hurtownie, jak pojedyńczo, wykonuje gustownie teki i futerały na adresy, dyplomy itp. Przyjmuje również do oprawy obrazy i fotografje w passe — partout wszelkiego rodzaju, najśpieszniej i po cenach bardzo umiarkowanych.

Robota piękna, gustowna, nie ustępująca najwytworniejszej zagranicznej robocie.

Perfumerja Fausta

Lwów, ulica Sykstuska liczba 2

poleca (5331-10-10).

niektóre wypróbowane środki kosmetyczne pod gwarancją skutku i nieszkodliwości:

Do farbowania włosów. Ekstrakt orzechowy Primaveli'ego w Rzymie. — Sok z łupin orzechów włoskich, zabarwia naturalnie na wszystkie odcienia 1 złr. 50 ct. — Nigretina francuska (2 płyny) działa natychmiastowo złr. 1.50 — Eau de Jouvence przemienia rude włosy na blond złr. 1.

Do wydelikatnienia płci, na piegi, plamy, zmarszczki, czerwoność nosa i t. p. — Niberta Balsam kasztanowy. Działa rzeczywiście zdumiewająco, odmładza złr. 1·30 — Pudr francuski wyśmienity, Veloutine la Roche, biały różowy i kremowy pudełko 70 ct. — Woda biała warszawska, bielidło najwyborniejsze 70 ct — Eau de Lys Filipini 80 ct. — Woda fiołkowa francuska 60 ct.

Przeciw wypadaniu włosów, przeciw łupieży i na porost. Woda ateńska warszawska 60 ct., francuska 70 ct. Rum Bajoński 60 ct. — Woda chinowa francuska 90 ct. — Olejek taninowy warszawski 70 ct.

Do wygubienia włosów na twarzy Depilatorjum Warszawskie złr. 1 (wyborne).

Specjalność na porost brody i na łysiny. Barbificatorium amsterdamskie (2 płyny, środek najnowszy) złr. 1·35.

Do usunięcia nieprzyjemnego odoru z ust. Pigułki wonne warszawskie, Flora Cachou 30 ct.

Największy skład

OGNI SZTUCZNYCH

po cenach bardzo tanich.

Telegram!

Mam zaszczyt zawiadomić Szanowną P. T. Publiczność, iż zjeżdżam do Stryja na jeden

Kurs tańców

Wyuczam kompletnie wszelkich tańców salonowych za wynagrodzeniem 8 złr.

Udzielam też lekcje tańców solowych, towarzyskich i narodowych, jako to: Czardasza, Kozaka, Kołomyjkę, Lansiera, Hucułkę, Polkę węgierkę i Mazura narodowego za osobnem wynagrodzeniem.

Udzielam lekcje na żądanie w domach prywatnych. — Wpisy będę przyjmował od godziny 2. po południu do 7. wieczór.

Z poważaniem

Nikodem Józef Loeffler

baletmistrz i nauczyciel tańców

5418—3—3 z Przemyśla.

R. Suttner & T. Zima

Fabryka kotłów

i warsztat reperacyjny maszyn

4957-st.-20. **w Kołomyi**

przyjmuje wszelkie roboty kotlarskie i maszynowe. Budowa i reperacja kotłów parowych i lokomobil. — Kotły i przyrządy do rafinerji naftowych, gorzelń, browarów, tartaków etc. — Ręczymy za dobre i punktualne wykonanie powierzonych nam robót.

Fabryka ta posiada także filję w **Gorlicach.**

Piece kaflowe
z Glinska
na składzie
we Lwowie
ulica Sobieskiego 3.

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Fr. Ks. Kowaliszyn. Z drukarni W. A. Szyjkowskiego ul. Kopernika l. 5. Telefon 117.

Dodatek II. do „Gońca i Iskry“.

Lwów, dnia 12. Października 1891 r.

Wychowaniec.

Powieść z angielskiego

przez

Waltera Besant.

(Dokończenie. — Patrz Nr. 26).

Wieczór, jednakże, skończył się niespodzianką.

Kiedy zabierali się prawie już do odejścia i Laurenty tylko kończył swoję czarną kawę, nagle wesołe, śmiejące się grono weszło do jasno oświetlonej sali i zajęło miejsca w przeciwnym jej końcu. Nowe to towarzystwo składało się z trzech pań i trzech panów. Panie były ubrane wspaniale, młode i piękne, śmiały się i mówiły głośno, głośniej, niż wypada w miejscu publicznem. Jeden z młodzieży, niski, czarny brunet, z brylantową spinką w krawacie i dużym brylantem na palcu, zachowywał się w sposób podobny; drugi, wysoki, młodziutki, jasnowłosy chłopiec, widocznie był onieśmielony i co chwila oglądał się w około, jakby w obawie spotkania kogo znajomego; trzeci wreszcie był Oliver Luttrel.

On wydawał służbie rozkazy i grał pomiędzy nimi rolę gospodarza.

Altea spostrzegła go pierwsza i nie mogła powstrzymać okrzyku zdziwienia.

— Oliver! — zawołała głośno. — Cóż to za dziwni ludzie, z którymi tu przyszedł.

Kasia obejrzała się także i poznała natychmiast jednę z kobiet, którą widziała niedawno w teatralnym kostiumie pozującą do fotografji.

Obie dziewczęta spojrzały na siebie zdumione.

Oliwer podejmujący aktorki »Pod gwiazdą«! ubogi Oliver, zajęty wyłącznie nauką, zakochany w Altei! Było to więcej, niż niespodziewane.

— I cóż twój ideał, Kasiu? — cicho zapytał Laurenty. — Przysięgał miłość tobie i Altei, teraz, jak się zdaje, przysięga ją tej dziewczynie. Czy takim wyobrażałaś go sobie?

Kasia nie odpowiedziała na to zapytanie, lecz na jej smutnej twarzy odbiła się przykra niepewność. Spuściła oczy i powstała z miejsca.

Oliver nie spostrzegł ich wcale i zadowoleni z tej okoliczności, opuścili restauracją.

XI.

Testament.

— Jakiś pan chce widzieć się z panem.

— Ze mną? Z doktorem zapewne.

— Nie. Pyta o pana Indagine.

Poeta wziął bilet z ręki służącej i spojrzał nań niechętnie.

— Przedstawiciel firmy pp. Rochet, Saye i Seal, Lincoln's Field. Jakiś adwokat — mruknął. — Czego ten znowu chcieć może odemnie? Chyba, że jaka wspólka wydawnicza.

— Może pana zostawić samego? — zapytał Laurenty dyskretnie.

— O, nie, nie! Przysłano kogoś zapewne w sprawie nowego wydania dzieł moich, będę może potrzebował twojej rady, panie Waller. Nie umiałbym układać się o cenę, nie znam współczesnych warunków...

— Dowiedzmy się więc wprzód, kto to i w jakiej sprawie — odparł Laurenty, niedowierzająco traktując przypuszczenia poety.

Młody człowiek, którego wpuszczono, wreszcie, do pracowni, ze zdziwieniem spojrzał dokoła na księgi i rękopisy, rozłożone wszędzie i na postać poety z długą siwą brodą i długimi białymi włosami. Był to pomocnik adwokata i nie spodziewał się wcale w ubogiej tej dzielnicy spotkać swego klienta w takiem otoczeniu i z tak imponującą popowierzchownością.

— Czy mam zaszczyt mówić z panem Indagine? — zapytał, zwracając się do starca. — Oto list i pakiet, jaki miałem panu doręczyć.

— List? — powtórzył poeta. — Od kogo?

— Od zmarłego brata pańskiego, Eneasza Indagine.

— Profesor! — zawołał Laurenty. — Zupełnie zapomniałem o nim! Powinienem był dawno powiedzieć panu o tem. Na okręcie poznałem się z pańskim siostrzeńcem, niejaSylwestrem Indagine.

— Ojciec mój nazywał się Sylwester — rzekł poeta, biorąc list do ręki. — Ale brat zmarły? siostrzeniec?

— Profesor Indagine jechał umyślnie do Anglji »dla dopełnienia aktu sprawiedliwości«, jak sam się wyraził. Zupełnie o nim zapomniałem. Gdzież on jest teraz?

— Wyjechał przed kilku dniami, nie mogąc odszukać pana w ciągu trzech miesięcy. Pośredniczyliśmy w tych poszukiwaniach i dlatego u nas pozostawił papiery, które osobiście zamierzał panu doręczyć. My wczoraj dopiero przypadkiem odkryliśmy pańskie schronienie przez niejakiego Lucjusza Cottle, byłego dependenta.

— Pańskie słowa dziwią mię nadzwyczajnie — rzekł poeta tonem wyrażającym głębokie zdumienie. — Przynosisz mi pan list od brata, którego nie widziałem lat blisko trzydzieści, i mówisz, że *mnie* znaleść nie mógł w ciągu trzech miesięcy. *Mnie!* Reprezentujesz pan poważną firmę adwokata, a twierdzisz zarazem, że nie wiesz nic o *mnie*. O mnie?

— I »Przegląd«, jeżeli pan sobie przypominasz, zapytywał także »gdzie jest Klemens Indagine?« — pospiesznie wtrącił Laurenty.

— Ach! prawda. Chodzi tu przecież o moje mieszkanie, a nie o moją osobę. Pan także pytasz, gdzie jest Klemens Indagine, a nie kto on jest. Rozumiem.

Młody człowiek skłonił się i zarumienił, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Zrozumiał on tylko jedno, że mówią tu o rzeczach, o których nie ma żadnego wyobrażenia.

— Ja myślę, że przedewszystkiem wartoby list przeczytać — podpowiedział znowu Laurenty.

— List? Ach, tak, prawda — wahająco odezwał się Klemens Indagine. — List od mego brata, który już nie żyje. Głos z grobu.

Westchnął i milczał przez chwilę, jak gdyby nie wiedząc, co mu uczynić wypada. Głos z grobu widocznie przemawiał do niego posępnie i budził nieokreśloną obawę.

— Eneasz opuścił Anglją przed laty trzydziestu pięciu — rzekł znowu, — w czasach, o których radbym zapomnieć na zawsze. — Smutna młodość i smutne dzieciństwo, a wszystko z winy człowieka, którego nie chcę wymienić nazwiska, a który niestety, był naszym rodzonym wujem! Wolałbym nie czytać tego listu. Nie, nie mogę. Przeczytaj mi go głośno, przyjacielu Albo nie! Poproś Altei. Ona go nam przeczyta.

Był widocznie wzruszony i cierpiał; bolesne wspomnienia dzieciństwa stanęły mu żywo w pamięci, lata przeżyte w więzieniu, śmierć ojca, ucieczka brata. Altea przelękła się prawie, spojrzawszy na twarz jego pobladłą.

— Oto list twego stryja, moje dziecko — rzekł, podając jej papier. — Przeczytaj nam go głośno.

Usiadł i wsparł głowę na ręku, tak, że twarzy widać nie było. Altea z lekkiem drżeniem złamała pieczątkę i rozwinęła papier.

»Kochany bracie — zaczęła. — Powiedziano mi, że umieram, nie powrócę więc już do was, ani do kraju, do którego tęsknię lat tyle. Wybierałem się ciągle z powrotem, zawsze odkładając z jednego roku na drugi, z miesiąca na miesiąc. Teraz już zapóźno. Zapóźno!« . . .

»Życie dało mi wszystko, prócz tego co sam porzuciłem: ojczyzny i krewnych. Czy to kara za błędy młodości?

Pragnę je naprawić przed śmiercią, o ile mogę przynajmniej. Powinienem to był uczynić od dawna, miałem zamiar i znowu go nie wypełniłem. Byłem zawsze tak bardzo zajęty! Nie zmniejsza to mojej winy, ale ją tłómaczy po części.«

»Chcę mieć czyste sumienie w ostatniej godzinie, tobie więc bracie, przesyłam wyznanie swoje i błagam o uczynienie, co będzie w twej mocy, byś złe wyrządzone moją nierozwagą i lekkomyślnością, naprawił.

»Nie znam sam nawet doniosłości czynu, jakiego się dopuściłem; może to rzecz błaha i drobna, lecz może i poważna. Uciekając z Anglji przed okrutnym naszym prześladowcą, nie mogłem oprzeć się chęci spłatania mu jeszcze figla przed odjazdem. Tak serdecznie go nienawidziłem! Jak wiesz, byłem pomocnikiem notarjusza Becklera, w ręku którego znajdowały się wszystkie papiery i akta Samuela Norbery. Zabrałem je z sobą, po raz ostatni opuszczając biuro swego pryncypała, i przywiozłem aż do Ameryki. Tu długie lata zapomniane leżały na dnie podróżnego tłómoczka. Gdy je nakoniec znalazłem, pierwszą myślą moją było odesłać je tobie, ale sam ciągle wybierałem się do Europy i odkładałem to jakoś, zajęty innemi sprawami.

»Co one zawierają, nie wiem, gdyż nie przeglądałem ich nawet, przypuszczam, że właściciela już nie zastaną przy życiu, mogą być, jednak, potrzebne i ważne dla jego sukcesorów. Syn mój odwiezie je po śmierci mojej i doręczy ci wraz z listem, od niego będziesz mógł także dowiedzieć się szczegółów o mnie i mojem życiu.

»Jestem bogaty, kochany mój Klemensie, i gdybyś się znajdował w potrzebie, syn

mój szczęśliwym będzie, mogąc ci przyjść z pomocą.

»Bądź zdrów, mój bracie. Smutno mi pomyśleć, że się nie zobaczymy w tem życiu.

Twój *Eneasz*.“

List był skończony, lecz wszyscy milczeli przez chwilę. Poeta pochylił głowę, jak człowiek, który się modli. Nakoniec odezwał się pierwszy:

— Myślałem, że będzie co gorszego. Biedny Eneasz! I on też widać niechętnie poruszał stare dzieje. Tak bym go rad zobaczył! Nie żyje i syn jego odjechał, nie zobaczywszy się z nami. Napisz do niego, Alteo, napisz mu o wszystkiem i pozdrów serdecznie. Gdy wyjdzie nowy tom moich poezyj, prześlemy mu go w upominku.

— Oto papiery, jakie pozostawił u nas pan Sylwester Indagine — rzekł młody człowiek, wyjmując z teki sporą paczkę opieczętowaną.

— Papiery? Nie chcę z niemi mieć nic do czynienia. Nie przyjmuję papierów mego wuja! — stanowczo zawołał poeta, odsuwając je od siebie ze wstrętem.

Pomocnik adwokata spojrzał na niego zdziwiony.

— W takim razie będziemy musieli złożyć je do urzędu — rzekł pytającym głosem.

— A róbcie sobie z niemi, co wam się tylko podoba. Ja nie wiem i wiedzieć o tem nie chcę. On mnie nie obchodzi zupełnie. Jest, zresztą, o czem mówić! Kilka papierów nieżyjącego człowieka, zabranych przed kilkudziesięciu laty! Ja się do tego nie mieszam zupełnie i nie chcę wiedzieć o niczem.

Adwokat z litością spojrzał na człowieka, który nie rozumiał znaczenia dokumentu.

— Na żądanie siostrzeńca pańskiego przeglądaliśmy zebrane papiery — odezwał się znowu. — Prócz wielu innych, znajduje się tu także testament Samuela Norbery, spadek po którym stanowi bardzo poważny majątek, nie można więc twierdzić...

— A dajcież mi raz pokój z tym majątkiem! — w oburzeniu zawołał poeta. — Weźcie sobie testament, podrzyjcie go i wyrzućcie, zróbcie z nim, co wam się podoba, tylko niech ja o tem już więcej nie słyszę.

— Podrzeć testament!? — powtórzył adwokat, nie dowierzając własnym uszom.

— Więc go sobie zabierzcie, tylko mnie dajcie pokój. Nie chcę tego widzieć, to mię irytuje i gniewa. Zabierzcież mi to raz z domu!

— Czy możesz mi pan powiedzieć treść testamentu? — krótko zapytał Laurenty.

— Tak jest. Majątek zapisanym został niejakiej Lucji Holford, pełniącej obowiązki zarządzającej domem testatora, a egzekutorem naznaczony Wincenty Cottle, właściciel domu na Bank Side.

— Lucji Holford — powtórzył z namysłem Klemens Indagine. — Tak. To bardzo dobrze. Oszczędził mi przynajmniej tej jednej zniewagi. Wdzięczny mu jestem. Wiedział, że nie przyjąłcym kradzionych pieniędzy. Czegóż więc chcesz pan odemnie? Zabierz sobie te papiery i zrób z niemi, co ci się podoba.

— Obowiązkiem moim było zapytać pana, czy nie zechcesz wystąpić w obronie słusznych praw swoich. A zarazem chciałem się poinformować, co do osób wymienionych w dokumencie.

— I tego nie będę mógł panu udzielić dokładnie — z godnością odparł poeta. — Wincenty Cottle nie żyje od lat pięciu, syn jego Lucjusz wskazał panu miejsce mego zamieszkania. O Lucji Holford nic nie wiem, jest ona kuzynką pana Cottle i miała siostrę Florę, którą Eneasz niegdyś jak się zdaje... ale to nie należy do rzeczy. Dobranoc panu.

Altea badawczo spojrzała na Laurentego, czy nie przemówi w tej chwili, ale twarz jego miała wyraz zagadkowy i milczał, nie patrząc na nią.

— A zatem mam zabrać papiery? — raz jeszcze zapytał adwokat.

W tej chwili szybkie kroki dały się słyszeć w sieni; drzwi otworzyły się i na progu stanął uśmiechnięty Oliver Luttrel. Poza nim widać było czerwoną twarz pana Mayes i jego niepewne spojrzenie.

— Oliver! — zawołał zdziwiony gospodarz. — Cóż cię tu sprowadza, mój chłopcze? A pan? — dodał, teraz dopiero spostrzegając znaną już postać lichwiarza.

— Ja go przyprowadziłem — rzekł Oliver, — zaraz wytłomaczę dlaczego. Chodzi o spadek po nieboszczyku Norbery.

— Boże! — jęknął poeta z rozpaczą. — Czyż to się nigdy nie skończy? Wyprowadź go ztąd, Oliverze, wyprowadź natychmiast!

— Ależ Altea — zaczął młody człowiek.

— Altea, ani ja nic nie mamy wspólnego z tem wszystkiem. Samuel Norbery zapisał swój majątek Lucji Holford. Testament się znalazł.

— Lucji Holford? — blednąc, powtórzył Oliver.

— Oto testament — rzekł adwokat, — może będziesz pan mógł łaskawie udzielić mi jakich wskazówek co do osoby sukcesorki.

Oliver wziął papier do ręki i spojrzał na datę, potem rozśmiał się głośno i z lekceważeniem położył go na stole.

— Z twoim podpisem, Meyes, — rzekł do swego towarzysza, — z przed 30. laty.

— Z moim podpisem? o Boże! Tak, tak, to on, to moj podpis! Gdzież u licha znalazł się ten papier?

— Przypominasz pan sobie swój podpis? — zapytał Laurenty.

— O, doskonale, doskonale — z uczuciem ulgi powtarzał pokątny doradca.

— A drugi? — surowo patrząc nań rzekł, Oliver.

— Drugi? A jakże! I drugi — zapewniał, rzucając wkoło niepewne spojrzenie. Głos jego zadrżał przytem, a dreszcz trwogi wstrząsnął całem ciałem. — Przypominam sobie — odezwał się jednak.

— To dobrze. Masz pan z sobą dokument, który uchyla znaczenie dawnego testamentu?

Pan Mayes wyjął z kieszeni arkusz złożony we czworo i milcząc, położył go na sole.

— Co to jest? — spytał adwokat.

— Późniejszy testament.

— Dziwna rzecz, że obadwa znalazły się jednocześnie.

— O tamtym nic nie wiem — rzekł Oliver, — a ten znaieziony został przed kilku dniami. Przyszedłem tutaj sam w tym interesie dlatego, że jestem stroną interesowaną, a powtóre dlatego, że pan Mayes przewidywał niektóre trudności.

— Nieporuzumienia — poprawił Mayes.

— Czy ten testament jest na moję korzyść? — poważnie zapytał poeta.

— Nie.

— Więc go sobie zabierzcie, ja nie mam z tem nic wspólnego.

— To jednak ciekawe — odezwał się Laurenty zdziwiony.

— Pana to nie dotyczy zupełnie — szorstko zauważył Oliver.

— Ale interesuje.

— Pan Norbery zapisuje swój majątek Altei Indagine, jeżeli przed ukończeniem lat dwudziestu jeden zmieni nazwisko, którego nieboszczyk znosić nie mógł. W przeciwnym razie spadek po nim staje się własnością p. Olivera Luttrel.

— Taką jest treść testamentu, Alteo — rzekł Oliver, zbliżając się do dziewczęcia. — Co do mnie...

Słyszałeś, co powiedział ojciec? Nie mamy nic wspólnego z testamentem pana Norbery.

— Tak, Alteo — rzekł, z boku spoglądając na Laurentego — nie zapominaj jednak, że przeszłość dawno minęła, upór twego ojca nic już naprawić nie zdoła z tego, co się stało, a ponieważ masz być moją żoną...

— Twoją żoną. Oliverze? — spytała, patrząc nań wzrokiem zdziwionym. — Twoją żoną?

— Wolałbym, ażebyś, jako moja żona, miała swój własny, niezależny odemnie majątek, i sądzę...

— Twoja żona? — po raz trzeci z najwyższem zdumieniem zapytała Altea.

— Jesteśmy przecież zaręczeni — rzekł niecierpliwie trochę, nie mogąc znieść jej wzroku.

— Zaręczeni? Co to wszystko ma znaczyć, Oliverze? Wiesz dobrze, jakie znaczenie miały zaręczyny nasze i pewną jestem, że sam żadnej do nich nie przywiązujesz wagi, cóż więc dziś znaczą te dziwne pretensje?

— Jeżeli postępowanie moje nazywasz dziwną pretensją, Alteo, to nie mam nic więcej do powiedzenia w tej kwestji. Chodzi tu, jednak, o to, że sboro ty gardzisz majątkiem, ja nie mam twoich uprzedzeń i nie powinnaś mi poczytać za złe, że skorzystam z losu, który tak niespodzianie przychylnym się dla mnie okazał.

— Ależ nie mam ci tego za złe, Oliverze, rób sobie, jak ci się podoba, to mię nie obchodzi zupełnie.

— Boże! — zawołał poeta, chwytając się za głowę, — ja tu oszaleję z temi wzmiankami i testamentami. Idźcież sobie raz wszyscy i zostawcie mię, wreszcie, w pokoju. Oliver, wyprowadź tego jegomościa, który już raz tu przychodził targować się ze mną o jakieś procenta. Nikt odemnie nic nie dostanie, bo, jak powiedziałem, nie mam nic wspólnego z majątkiem pana Norbery. A teraz chcę sam zostać wreszcie!

Laurenty położył na stole testament, który trzymał w ręku.

— Pan Norbery musiał głęboko nienawidzieć nazwiska Indagine, skoro zmianę jego położył za warunek jedynej prawnej sukcesorce. Jest to, jednak, dość naturalnem, nie nawidzimy tych zwykle, których pokrzywdziliśmy, bo ich wspomnienie zakłóca nam spokój sumienia.

— Być może — rzekł Oliver, — moje zaś imię znalazło się tu zapisane z potrzeby pozostawienia komuś swej własności, w razie gdyby warunek obowiązujący główną spadkobierczynię wypełnionym nie został.

— Można więc panu powinszować, nie zbraknie teraz na wystawne przyjęcie »Pod gwiazdą«.

— Co to ma znaczyć? spytał, marszcząc czoło, Oliver.

— Nic, widzieliśmy pana tam przed kilku dniami w wesołem towarzystwie, dlatego o tem wspominam. A to co?

Ostatnie pytanie odnosiło się do kilku wyrazów, napisanych drobnem, lecz wyraźnem pismem na odwrotnej stronie testamentu. Młody człowiek chciał je odczytać, było to, jednak, zbyt trudnem, gdyż napis był widocznie w obcym jakimś języku.

Adwokat, Meyes i Oliver kolejno wpatrywali się w tajemnicze, niezrozumiałe wyrazy, skreślone znacznie świeższym atramentem, a więc niewątpliwie później, niż sam testament.

— Żegnam panów — rzekł zrozpaczony poeta, odwracając się do swego stołu i zagłębiając w papierach. — Tyle czasu, tyle najpiękniejszego czasu!

Obaj obcy opuścili pokój, lecz Oliver zbliżył się do Altei.

— Alteo — rzekł, — wierz mi, że przedewszystkiem pragnę zastosować się do twojej woli, powinnaś mi też wybaczyć, jeżeli przez życzliwość dla ciebie i twoich, zapomniałem o tem na chwilę. Tak pragnę twego dobra! Tak pragnę spokoju tych starców! Dla nich to i dla ciebie próbowałem wmówić w oboje nas przywiązanie, o którem wiesz dobrze, iż prawdziwem nie było. Zamiar mój się nie udał, lecz powtarzam ci jeszcze, Alteo, że to donkiszoterja zrzekać się tych pieniędzy.

— To wola mojego ojca.

— Niech i tak będzie. Nie myśl że, źle o mnie, że nie podzielam tych nierozsądnych uprzedzeń.

— Możesz postąpić, jak ci się podoba, ja cię nie potępiam za to.

— Dziękuję ci, Alteo. Ty nie wiesz, czem jest majątek dla badacza i uczonego. Będę teraz miał własne laboratorjum, będę mógł swobodnie poświęcać czas swój ulubionym studjom, a ty tego nawet nie rozumiesz.

— Powiedz to ojcu memu, Alteo, powiedz mu, że przez twoje zrzeczenie staje się człowiekiem bogatym, wolnym, niezależnym. Bądź zdrowa...

Dotknął jej ręki i wyszedł pospiesznie, podczas, gdy w uszach Altei brzmiały dziwne słowa ciotki Klaudji: będzie ukaranym, ukaranym i upokorzonym.

Poeta odetchnął z głębi piersi.

— Nakoniec! — rzekł — tyle czasu. Pozostaw nas samych, Alteo, tak wiele mamy dziś jeszcze do przejrzenia z panem Waller.

XII.

Ostrzeżenie.

— Ciotka Klaudja! — zawołała Flavia ze zdziwieniem, patrząc na drobną, uśmiechniętą postać, w czarnej jedwabnej sukni, stojącą w progu pokoju.

— Siostra Klaudja! — powtórzyli Lucjusz i Kornelja, a w głosie ich było zdumienie.

W istocie, od lat 20. Klaudja nie była w tym domu. Poróżniły się z siostrą o drobiazg, ale z kobiecą stałością trwały w niechęci i gniewie. Rodzina też dzisiaj witała gościa przedewszystkiem ze zdziwieniem wielkiem, gdyż ona, właściwie, była obrażoną i ważnym musiał być powód, który po latach dwudziestu kazał jej zapomnieć o tem.

— Miło jest być pośród swoich w domu, gdzie nam upłynęły szczęśliwe lata młodości — rzekła wreszcie, gdy się skończyły pierwsze powitania. — Jestem waszą najbliższą, przyszłam połączyć się z wami w chwilach ważnych zmian i wypadków. W takich godzinach rodzina powinna stanowić jedność, a każdy z członków jest obowiązany zająć należne sobie wśród niej stanowisko.

Nawet Kornelja uważnie słuchała mówiącej, która po chwili milczenia spytała o Laurentego.

Wkrótce dla nikogo nie był już tajemnicą stopień pokrewieństwa łączący go z rodziną Cottle. Kornelja tryumfowała: ona pierwsza odgadła prawdę.

Młodzieniec tłomaczył się trochę ze swego długiego milczenia, nikt, jednak, nie miał do niego urazy, wszystkie dłonie do serdecznego gotowe uścisku. Pytania i odpowiedzi sypały się ze stron wszystkich, Laurenty nie był w stanie odpowiadać.

Nakoniec ciotka Klaudja podała mu list otwarty.

— Tę kartkę doręczysz sam Oliverowi — rzekła, — i przeczytasz mu słowa, jakie na niej napisałam. A teraz bądźcie zdrowi, zobaczymy się wkrótce; odwiedziny dzisiejsze były wstępem tylko do ściślejszego jeszcze zespolenia, zanim rozłączymy się znowu na długo, może na zawsze.

Niepodobna jej było zatrzymać, ani skłonić do powierzenia komu innemu poselstwa, którego Laurenty niechętnie się podejmował. Odeszła, pozostawiając krewnych w oczekiwaniu zapowiedzianych wypadków.

Laurenty niezwłocznie udał się do laboratorjum.

Było to po skończenej lekcji i Oliver znajdował się w swoim pokoju. Widok gościa zdziwił go widocznie.

— Pan tutaj? — zapytał otwarcie.

— Potrzebuję z panem pomówić, czy można?

— Mów pan, proszę. Czem mogę mu być użytecznym?

— Użytecznym? — Laurenty uśmiechnął się ironicznie. — Jestem ciotecznym bratem Kassandry Cottle — rzekł z naciskiem, — o przyjmowaniu więc usług od pana nie może być mowy między nami...

Olivier przygryzł usta.

— Nie jestem ciekaw pańskich legitymacyj — rzekł sucho. — Z miss Kassandrą czas jakiś byliśmy istotnie zaręczeni, lecz to uważać można za zwykłe dziecinne szaleństwo. Kiedy zrozumiałem znaczenie tej niedorzeczności, zerwałem, jak człowiek uczciwy zobowiązanie, którego nie mógłbym dotrzymać. Oto wszystko.

— A jednak przysięgałeś pan drugiej osobie, że nic między wami nie było?

— Dla jej własnego dobra. Pragnąłem jej dać opiekę i, aby ją przyjęła odemnie, musiałem ukrywać prawdę, znając jej uprzedzenia i niepokonane przesądy.

— Szczególny sposób dbania o dobro bliźniego! Lecz mniejsza o to tymczasem, przybyłem tu w poselstwie od pani Laverock.

— Laverock? Nie mam przyjemności. Ale bądź pan łaskaw...

— Młody człowiek z głębi pokoju zbliżył się i stanął obok gospodarza z rękami skrzyżowanemi na piersiach i wyzywającem spojrzeniem.

— Jest to ostrzeżenie.

— Ostrzeżenie! — zaśmiał się Oliver, chociaż twarz jego pomimowoli pobladła. — Zbytek łaski istotnie ze strony nieznajomej damy. A może pragnie zaliczyć mię w poczet swoich zjednoczonych czcicieli?

— Radzę panu z mej strony liczyć się ze słowami.

— Ach, szanowny panie, dosyć już mam tych względów i rachunków, chciałbym nareszcie czuć się prawdziwie swobodnym, choćby we własnem mieszkaniu. Słucham więc, panie Waller.

— Oto list, który mam panu doręczyć i przeczytać.

— Przeczytaj pan z łaski swojej, mógłbym nie zrozumieć sybilijskich znaków.

— Mam więc czytać w obecności tego pana?

— Jeśli pan sobie życzysz.

— Jest to kilka słów tylko: »Cofnij się, póki czas jeszcze. Grozi ci niebezpieczeństwo, którego nie przeczuwasz. Błędna droga wiedzie do przepaści.«

— To wszystko. Nie wiem co to ma znaczyć i słów tych nie rozumiem. Spełniłem jednak polecenie i żegnam pana.

To mówiąc, skłonił się zdaleka i zawrócił drogą, którą przyszedł. Oliver z bijącem sercem stał na tem samem miejscu.

— Niebezpieczeństwo — powtórzył, zostawszy sam z bratem. — Słyszałeś, Henryku? Niebezpieczeństwo nieznane.

Henryk ruszył ramionami.

— Zkąd? — zapytał z ironią. — Któż mógłby nas zdradzić, albo denuncjować? Ten chyba, kto napisał testament. Ale zastanów się tylko, mój chłopcze, iż byłoby to z jego strony więcej, niż niedorzeczność. Wszakże on z tego żyje! Gdyby nie był dyskretnym, straciłby ostatni sposób zarobkowania. I komużby zresztą powiedział? Jest to człowiek chory, sparaliżowany, który nie opuszcza nigdy swojego fotelu. Przyjaciół, ani krewnych nie ma, może dlatego, że jest w takiej nędzy. Nikt go nawet nie odwiedza, tacy chyba tylko jak, ja interesanci. A teraz, w najgorszym razie, w niemożliwym wypadku, przypuśćmy, że chce oskarżyć, lecz kogo? Nie ciebie przecież, bo cię nie zna. Mnie tylko. Jakimże więc sposobem mógłbyś ty za mnie odpowiadać? A zresztą, porzuć te myśli, znam człowieka, któremu powierzyłem własne bezpieczeństwo; nie pierwsza to jego sprawka i on więcej lękaćby się musiał odemnie. Widziałem go, kiedy z dumą przypatrywał się swemu dziełu, ceni on wartość swej sztuki i traktuje ją z zamiłowaniem. Nie zrobiłby tego ze względu na samego siebie i nie mógłby zrobić, choćby pragnął. Nie widziałem jeszcze anglika w hotelu, w którym ona mieszka, sami cudzoziemcy, nie pojmujący tutejszych praw ani języka.

— To prawda — szepnął Oliver, — rzecz zdaje się nieprawdopodobną.

— Jest zupełnie nieprawdopodobną. Czego my się mamy obawiać? Mayes znalazł testament, Mayes go podpisał, Mayes gotów tenpodpis zaprzysiądz. Cóż nam do tego? Zaprzysiądz będzie go musiał zapewne on, nie ty i nie ja. Myśmy do tego nie zamieszani zupełnie. Bierz, co ci dają, oto wszystko. I jakież niebezpieczeństwo może grozić tutaj?

— Więc cóż znaczy to ostrzeżenie?

— Kto je przysłał?

— Kobieta, której nigdy nie widziałem.

— Musi cię znać jednak?

— Przez swoje siostrzenice mogła słyszeć o mnie.

— Czyś jej co zawinił, obraził ją, choćby pośrednio?

— Jej — nie, ale — być może — chodzi tu o Kasię...

— Co to znaczy?

— Głupstwo, zerwałem z nią stosunek, który ona chciała utrzymać, darząc mię swoją miłością, a odbierając wolność.

— Bardzo pięknie, czegóż więcej potrzeba? Oto masz źródło mniemanego niebezpieczeństwa. Ostrzega cię, żebyś nie zrywał z dziewczyną i grozi ukrytą zemstą. Czy cię przeraża ta babska wojna?

— Gdyby tak było — rzekł z uśmiechem Oliver, — nie miałbym troszczyć się o co.

— Nie ma o czem mówić. Niech ci grozi. Za trzy miesiące odbierzemy spadek, a wtenczas... bądźcie zdrowi, mili znajomi. Sądzę, że najlepiej będzie zamieszkać w Paryżu, lub Brukselli, tutaj zadługo już siedzę.

— I ja także. Musiałem przegrać wczoraj i jestem bez grosza. Zanadto mię jakoś obserwują teraz przy kartach. Wolałbym to już raz skończyć, lub przerwać przynajmniej na czas jakiś. Ile już pożyczyłeś od tego lichwiarza?

— Trzysta. Ale mam tylko dwadzieścia.

— Daj mi dziesięć i pożycz znowu setkę, a choćby tysiąc. Będzie to najlepszą próbą pewności naszej hipoteki. No, czegóżeś taki blady?

— Nie, tak, to niepodobna. To zupełne niepodobieństwo.

Myślał, jednak, ciągle z pewnym niepokojem o tajemniczem poselstwie i potrzebował co chwila przekonywać się, przytaczając wszystkie dowody i argumenta, osłaniające go we własnych oczach przed nieznanem niebezpieczeństwem.

W takiem usposobieniu zaszedł do pana Mayes. »Przyjaciel młodzieży« przyjął go z twarzą pogodną.

— Witam, witam, panie Luttler — zawołał. — Jeszcze trzy miesiące tylko — powtarzał, zacierając ręce. — Pilno nam obydwom nieprawdaż? Ale możemy być teraz spokojni skoro sukcesorka dobrowolnie zrzeka się swoich pretensyj. Masz pan szczęście, panie Luttrel.

— Czy mi pan jeszcze pożyczysz co na rachunek tego przyszłego szczęścia? — zapytał młody człowiek.

— Czemu nie, czemu nie, z przyjemnością! Każdy pożyczy chętnie. Przyjdź pan jutro zrana, postaram się o pieniądze.

Niema niebezpieczeństwa, pomyślał Oliver, znalazłszy się znów na ulicy. Skoro pan Mays pożycza tak chętnie, mogą być zupełnie spokojnym o odebranie majątku.

XIII.

Przed sądem.

— Co to, jednak, wszystko ma znaczyć? spytał nakoniec Lucyusz, oglądając się wkoło pokoju, gdzie zgromadzeni byli prawie wszyscy członkowie rodziny Cottle, Klemens Indagine z Alteą, Laurenty i Kawaler. — W jakim celu zebraliśmy się tutaj?

— Ja panu na to odpowiedzi nie dam — odezwał się poeta, — przypuszczam, jednak, że nas ktoś, wreszcie, objaśni.

Kawaler stał na uboczu, skromny i uśmiechnięty, jak zwykle, lecz w nowem, porządnem ubraniu, wojskowej kurtce węgierskiej, całych butach i ogolony, wyglądał o dwadzieścia lat młodszym.

Józef Mayes zjawił się dość późno, zły i rozdrażniony ostatnią sceną z doktorem, który nie wstydził się brać od niego pieniądze, chociaż całe leczenie żadnego nie przyniosło dotąd rezultatu. Józef Meyes w głębi duszy przyznawał, iż w żaden sposób przypomnieć sobie nie może chwili podpisania znalezionego aktu.

Czyż byłby już półwarjatem?

— Kto mię tu wezwał i w jakim celu? zapytał — zwracając się do poety, a kiedy ten ze wstrętem odsunął się od niego, rzucił gniewne spojrzenie w około i spostrzegł Kawalera, stojącego pod ścianą.

— Proszę! — zawołał zdziwiony. — Kawaler? i w takim stroju? U mnie nie ubrał się nigdy porządnie. Mam zamiar zapozwać pana do sądu o samowolne opuszczenie miejsca. To nielegalnie, mój panie, wymawia się na dwa tygodnie, a nie wstaje od stolika, aby powiedzieć nagle: do widzenia!

— Ciotka Klaudja! — zawołała Flavia tryumfalnie. — O, Kasiu, będziesz pomszczoną, i to dzięki Kawalerowi. Patrz, jak szlachetnie wygląda.

Klaudja obrzuciła wzrokiem całe zgromadzenie, jak to czyniła, wchodząc do kaplicy, i zatrzymała się chwilę u progu. Twarz jej była poważną, a oczy błyszczące dziwnym, magnetycznym blaskiem. Zbliżyła się do stołu i zajęła miejsce, wskazując obecnym, aby uczynili toż samo. Wszyscy uczuli dziwną władzę tej kobiety.

— Bracia i siostry — rzekła, — zebrałam was tutaj w imię miłości bliźniego, by osądzić, potępić i ocalić razem człowieka, który według opinji świata wydanym być powinien w ręce sprawiedliwości. Lecz w naszym kościele »zjednoczeni bracia« nie stawiają winowajcy przed sądem, ostrzegają go tylko, potem sądzą, jeżeli cofnąć się nie chce z drogi błędu. Prawo, jednak, nie prześladuje go nigdy. Pragniemy go powstrzymać od złych czynów, lecz nie karać za nie, musimy przebaczać i zapominać nawet, bo miłość jest treścią naszej wiary; miłość — to Bóg! I w waszem gronie także znalazł się winowajca. Ostrzeżonym został trzy razy, nie zaniechał, jednak, nieprawego swego zamiaru. Karaćgo nie będziemy, niechaj odejdzie w pokoju, lecz wina jego stać się musi jawną, aby wiedzieli wszyscy, kim jest i jek postępuje. Oliver Luttrel powinien zjawić się zaraz.

W tej chwili Oliver otworzył drzwi pokoju.

Widok zgromadzonych zdziwił go, lecz nie przestraszył; widział Kasię ze spuszczoną głową, ciotkę Klaudję na pierwszem miejscu i słowa brata natychmiast stanęły mu w pamięci. Nie zauważył nawet, że po jego wejściu, Feliks natychmiast przysunął do drzwi swoje krzesło i usiadł na niem z miną ponurą i groźną. Wszystko to, zresztą, dałoby się wytłómaczyć, lecz, co tu robi Mayes?

— Co to ma znaczyć? — zapytał. — Wezwano mię tu i przyszedłem, lecz w jakim celu? Co to za przedstawienie i jaką mi w niem rolę przeznaczono?

— Młodzieńcze — rzekła Klaudja, a głos jej brzmiał dziwną siłą i potęgą, — młodzieńcze — powtórzyła, patrząc nań wzrokiem tryumfującym, — trzykrotnie cię ostrzegałam o niebezpieczeństwie, trzykrotnie ci radziłam cofnąć się z drogi nieprawej; lecz ty odrzuciłeś przestrogi i rady. Człowiek uczciwy, lecz słaby zbłądzić może na chwilę, kto, jednak, trwa w występku uparcie i stale, kto oczy rozmyślnie na światło prawdy zamyka ten złym jest i przewrotnym w duchu i z tego zdartą być musi maska obłudnej cnoty. Niech grzeszy przynajmniej otwarcie, nie wyzyskując pod stępnie uczuć i opinji tych, którzy w nim kochają własne swe złudzenia. Niech wiedzą wszyscy, kim jest rzeczywiście i czego po nim spodziewać się mogą. Innej kary my nie wymierzamy. Wezwaliśmy cię tutaj, by pozbiedz niesprawiedliwości, a tem samem osłonić cię przed wyrokiem, jaki występek zwykle za sobą pociąga. W obec sądu i prawa będziesz ocalony, w oczach przyjaciół twoich, potępiony.

Oliver milczał, zdjęty niewymownym strachem, wzrok Klaudji, jak pieczęć zamykał mu usta; blady był i nieruchomy, usiłował, jednak, nie poddać się przykrym wrażeniom i, gdy prorokini umilkła na chwilę, on podniósł się z miejscą gwałtownie.

— Nie pojmuję, dlaczego miałbym dobrowolnie przyjmować udział w tej komedji! — zawołał gniewnie i zuchwaie. — Żegnam państwa!...

Odwrócił się, aby odejść, ale Feliks stał we drzwiach i na jego gniewne spojrzenie odpowiedział wzrokiem tryumfującej ironji.

— A więc to gwałt? — zapytał. — Jestem tu, jak widzę, niewolnikiem? Ulegam przemocy, ale wiedzcie o tem, że wasze sądy i dysputy śmieszyć mię tylko mogą.

Usiadł na uboczu i wpatrzył się wyw ścianę przeciwległą, jak człowiek zrezygnowany na złe nieuniknione, z którego sobie jednak nic nie robi.

— Kawalerze — odezwała się Klaudja, — bądź łaskaw powtórzyć zeznanie, jakie mi uczyniłeś.

Oliver szybkim ruchem zwrócił się do mówiącego. Cóż u licha ten człowiek mógł przeciw niemu powiedzieć?

Kawaler zbliżył się do stołu.

— Od dwóch lat — rzekł swym cichym, łagodnym głosem, — pracowałem w kancelarji paua Józefa Mayes.

Mayes chrząknął pomimowolnie. Ogarnął go jakiś niepokój i nieokreślone, lecz przykre uczucie, którego nie mógł się pozbyć.

— Przytem jednakże — mówił Kawaler dalej, — zanim znalazłem tu miejsce, mieszkałem wraz z kilku innymi emigrantami w pobliżu Sopo-Square, w domu dobrze znanym ubogim cudzoziemcom, szukającym w Anglji schronienia. Mieszkaliśmy tam razem, po kilku w jednym pokoju, jak zwykle ludzie ubodzy. Tam też poznałem pewnego anglika, który już od lat kilku to z tym, to z owym do spółki zajmował małą izdebkę. Był on sparaliżowany, a przytem bardzo biedny. Szeptano o nim, że przez nadużycia utracił przyzwoite niegdyś stanowisko, przyjaciół i dobre imię. W istocie, nie miał nikogo: krewnych, ani znajomych, nikt nie odwiedzał go nigdy, prócz interesantów. Litowaliśmy się nad nim potrosze, choć każdy wiedział, że i dziś jeszcze prowadzi on przy drzwiacl zamkniętych niejednę nieczystą sprawę. Kiedy kto do niego przyszedł z interesem, wypraszał zwykle gości, z którymi lubił sam pić i rozmawiać, a i ci goście także patrzyli na nas z pod oka, jakby się bali ludzkiego spojrzenia.

— Przeniósłszy się na Southwerk, od czasu do czasu odwiedzałem zawsze w niedzielę byłych towarzyszy niedoli. Jeden z nich zwłaszcza, węgier, a więc mój rodak, zaprzyjaźnił się ze mną dość ściśle. Dostał on niedawno miejsce kelnera w resursie i przyjął je z wielką wdzięcznością, każdej nocy usługując grającym i tańczącym gościom. W dzień spał, albo grał w karty ze sparaliżowanym anglikiem, nad którym się bardzo litował. Pewnego dnia anglik, niezupełnie trzeźwy, zasnął przy ja-

kiejś robocie. Na stole przed nim leżał zapisany papier, na którym mój przyjaciel spostrzegł znane mu dobrze z opowiadań moich nazwisko: — był to podpis Józefa Mayes.

— Mój podpis? — zawołał z najwyższem zdziwieniem lichwiarz. — Nie, nie pamiętam... — i umilkł nagle, przerażony myślą, że znowu sobie czegoś przypomnieć nie może.

— Mój przyjaciel — ciągnął dalej Kawaler, — skopiował rzeczony papier, potem dopilnował komu oddano oryginał. Papier doręczył mi przy zobaczeniu i ofiarował się wskazać w klubie osobistość, dla której anglik pisał ten dokument. Dokumentem tym bardzo ciekawym, jest testament człowieka, nieżyjącego już od lat sześciu, napisany przed kilku tygodniami.

Oliver blady, z zaciętemi usty, raz jeszcze ukradkiem spojrzał na drzwi zamknięte, lecz olbrzymia postać Feliksa zasłaniała je w sposób ostentacyjny. Widząc, że nie ma wyjścia, oparł czoło na ręku i słuchał w zaniedbanej na pozór postawie niespokojnie tylko śledząc wyraz twarzy pana Mayes, który z otwartymi usty słuchał opowiadania byłego swego pomocnika.

— Wręczony mi przez przyjaciela mojego dokument zainteresował mię tak dalece, iż zdecydowałem się, wreszcie, pożyczyć liberji i udać się do klubu ze znajomym węgrem, aby poznać dla kogo został sporządzony. Tam przy kolacji usługiwaliśmy obaj temu młodzieńcowi, który przyszedł około północy w towarzystwie dwóch dam i młodego człowieka. Damy odjechały dość wcześnie, a obaj panowie do rana grali w karty. Jeden z nich, ten który u anglika zamawiał dokument, nazywa się Henryk Stanley, — drugi jest tu obecnym.

— Stanley? — głośno powtórzył poeta. — Któż to nazywa się Stanley?

— Teraz wiedziałem już trochę, czego się mam trzymać. Dokument, który składam tu przed siostrą Klaudją, odczytywałem tylekroć, iż mimowolnie nauczyłem się go na pamięć. Czekałem. W jakiś czas potem, zajęty byłem, jak zwykle, porządkowaniem papierów mego pryncypała, kiedy wszedł ten młodzieniec, żądając widzieć się z panem Józefem Mayes. Zauważyłem zaraz, iż ma w ręku kilka zwiniętych papierów, które niezręcznie stara się ukryć przedemną. Udałem, że tego nie widzę, a gdy powróciłem z wezwanym przezemnie pryncypałem, zwój papierów leżał na ziemi blisko mojego krzesła, a pan Oliver Luttrel nic już nie miał w ręku. Zaledwie się, jednak, oddalił, podniosłem papier podrzucony z ziemi i napisałem na rogu kilka słów po węgiersku, aby go łatwiej odróżnić w następstwie. Było, to, zresztą dla mnie zupełnie zbytecznem, gdyż mnie m..ny testament Samuela Norbery brzmiał w pierwszej części, przynajmniej, tak samo, jak doręczona mi przedtem kopia mego przyjaciela, którą umiałem na pamięć.

Oliver rozśmiał się głośno.

— Piękna historja, Kawalerze, pięknie pomyślana — zawołał, — trudno temu zaprzeczyć, ma ona, jednak, bardzo słabe punkta, które ci zaraz wymienię. Po pierwsze, któż to jest ów Henryk Stanley i w jakim celu fałszował dokument na korzyść Altei? Zkąd ją zna zresztą? i zkąd zna moje nazwisko, skoro ja o niem nic nie wiem? Druga kwestja, to podpis pana Mayes, który gotów zaprzysiądz w każdej chwili.

— Stanley? — powtórzył poeta, — to twoje nazwisko, chłopcze. Zdaje się nawet, że miałeś podobno brata.

— Jeżeli pan Stanley jest ten niski, przystojny brunet, oliwkowej cery, mówiący głośno i uderzająey dziwnem zachowaniem, to miałem sposobność widzieć go dwa razy w towarzystwie pana Luttrel, raz w parku Richmond, drugi raz niedawno we własnym jego gabinecie — odezwał się Laurenty.

— Więc to prawda — zawołał pan Mayes, — więc widziałeś, go Kawalerze, podrzucającego papiery? I dlaczegóż mi o tem nie powiedziałeś odrazu?

— Ponieważ pan twierdziłeś, że przypominasz sobie swój podpis.

— Byłem szalonym, warjatem? — zawołał w uniesieniu. — Jakże mogłem przypuszczać fałszerstwo? Wstydziłem się tego, że sobie przypomnieć nie mogę. Tyle pieniędzy wydałem na doktora! Wyrzekłem się piwa i dżinu, morzyłem się głodem! Ha zbrodniarz! oszust! złodziej!

Chciał rzucić się na Olivera. Kasia krzyknęła przerażona.

— Milcz pan — zawołał Feliks, groźnie patrząc na lichwiarza. — rozprawisz się z nim gdzieindziej, tutaj nie miejsce.

— Nie miejsce? Czterysta funtów pożyczył już odemnie na ten fałszowany papier. Czterysta funtów? A doktor? Gdzieindziej? O pewno, że się rozprawimy gdzieindziej. Krew z niego wypiję za swoje skradzione pieniądze...

— Uspokój się, panie Mayes — powtórzył Feliks rozkazującym tonem, — lub bądź łaskaw opuścić ten pokój...

O, tak, nie mam tutaj nic więcej do roboty, weźcie sobie i ten fałszywy testament, który dzisiaj miałem odnieść do adwokata. Byłbym krzywoprzysięzcą, fałszerzem, którego lada denuncjant może wysłać do kolonij, umarłbym z głodu, a wszystko...

Feliks szeroko drzwi przed nim otworzył.

— Czekam na pana, panie Luttrel! — rzekł jeszcze, stojąc na progu, — musimy pomówić z sobą.

Pozwólcie mi jeszcze państwo odczytać dopisek na fałszywym dokumencie, który nie zajmie nam już wiele czasu, a dokładniej wyjaśni sprawę: »Dzisiaj, 15. sierpnia 1885 roku, dokument ten podrzuconym został przez Oliwera Luttrel w biurze Józefa Mayes«.

Oliver wyciągnął rękę i wziął papier od Kawalera. Przez chwilę przypatrywał mu się uważnie, potem porównywał z kopią, nagle szybko złożył obydwa razem i ukrył je w kieszeni na piersiach, szczelnie zapinając tużurek.

W tej chwili doktór Luttrel wszedł do pokoju.

— A to co? — zawołał wesoło. — Cóż to za liczne zebranie? I ty tutaj, mój chłopcze? dawno cię nie widziałem. Czy miałeś może prelekcją wobec tych słuchaczy? — zaśmiał się, klepiąc go po ramieniu. — Cóżeście tu robili?

— Skończyliśmy już — rzekła Klaudja — i rozchodzimy się właśnie. Spełniliśmy swoję powinność, a teraz starajmy się wszyscy zapomnieć tej przykrej godziny. Chrześcijanie nietylko przebaczać umieją, lecz i zapominać winy.

— Co? jakto? — pytał doktór, — cóż się tu stało? Czy to ty, panie Laurenty urządziłeś znowu jaką niespodziankę?

— Nie — odparł młodzieniec spokojnie. — To mojem dziełem nie było.

— Pójdźmy już — rzekła Flavia, — jesteś pomszczoną, Kasiu, nie możesz kochać go teraz.

Wszyscy wychodzić zaczęli, Kasia tylko z Alteą cofnęły się jeszcze odedrzwi.

Kasia zbliżyła się do Olivera.

— Nie wiesz może, iż wyjeżdżam wkrótce do Australji — rzekła, — rozstańmy się w pokoju, jak przyjaciele.

Stała przed nim z wyciągniętą ręką, smutna i blada, lecz on zdawał się nie patrzeć na nią. Czoło jego było zmarszczone, wzrok gniewny.

— Nie zobaczysz mię więcej — szepnęła. — Czy mi nie podasz ręki?

— Nie — odparł głucho, gwałtownie.

— Podaj jej rękę, Oliverze — rzekła Altea z powagą. — Czyż nie widzisz, że to pożegnanie z miłością, która umiera?

»Miłość, ostatnie złudzenie, które zniknąć musi, jak inne«, zabrzmiały nagle w uszach Olivera jego własne niegdyś wyrazy. W oczach jego błysnął nowy płomień gniewu, blade usta drgnęły niecierpliwie.

— Idź sobie — syknął przez zęby, odwracając się w stronę przeciwną.

Kasia oddaliła się szybko, wstrzymując łzy gwałtownie cisnące się jej do oczu. W pokoju pozostali tylko doktór, Oliver i pan Indagine.

— Co to jest, mój chłopcze? — rzekł pierwszy, oglądając się w około ze zdziwieniem. — Co znaczą wasze miny poważone i to dziwne milczenie?

Poeta położył mu spokojnie rękę na ramieniu.

— Przyjacielu — rzekł uroczyście, — długo marzyliśmy wszyscy, ale nadeszła chwila przebudzenia.

— Co to ma znaczyć?

— Przypomnij sobie: temu lat dwadzieścia, powziąłeś plan, który wydał ci się wielkim. Kupiłeś nędzne opuszczone dziecko cygana, by je wychować na człowieka. W żyłach dziecka płynęła występna krew przodków zbrodniarzy, lecz ty śniłeś, lecz ty zamierzałeś podnieść je moralnie i złe skłonności zmienić w cnoty i zalety. Nie nauka religji miała według ciebie dokazać tego cudu, lecz naturalny rozwój umysłowych zdolności. Zdawało ci się, iż jest to prawem natury, że jednostka oderwana od wpływów szkodliwych, jak roślina przesadzona w grunt żyzny i zdrowy, wsiąka soki pożywne jedynie i wznosi się stopniowo i moralnie do wyżyn doskonałości duchowej. Tyś wierzył. Zdawało ci się, że instynkt samozachowawczy, to dostateczna podstawa moralności, że to fundament najtrwalszy religji naturalnej, która doprowadzi go sama do coraz wznioślejszych, coraz więcej duchowych wniosków, przechodząc nakoniec do uznania najwyższych prawd chrześcijańskich: miłości Stwórcy i stworzenia. Miało to być wielkie doświadczenie, potwierdzające twoje przekonania i twoje zasady. Wierzyłeś długo, że ci się powiodło zupełnie. Zdawało ci się, żeś dowiódł czystości i szlachetności wrodzonej ludzkiego ducha, żeś wykazał dowodnie, iż zbrodnie i występki są jedynie smutnem zboczeniem, wywołanem przez zewnętrzne przyczyny, że człowiek w stanie natury, wolny od nędzy i głodu, od przesądów i złego przykładu, jedynie przez rozwój umysłowy i wskazanie mu jasnego i pięknego celu, zabezpieczonym być może od moralnego

upadku i poniżenia i stać się apostołem najwznioślejszych prawd moralnych.

— Więc cóż z tego wynika; — zapytał doktor z zupełnym spokojem, patrząc na przyjaciela i przybranego syna po kolei. — Dziecko, które wychowałem prowadzi życie proste i surowe, nie kusi go blask zwodniczy światowej próżności, ukochało naukę i wiedzę, jest więc na drodze do ukochania ludzkości. Serce jego jest czystem, umysł spokojny i trzeźwy, dąży naprzód po drodze obranej, cóż więc zarzucić mu możesz?

— Pozostawiam cię z nim przyjacielu. Nikt między wami nie stanie, niech ci sam powie, co ci powiedzieć zechce.

To mówiąc, oddalił się także z cichym smutkiem w marzących oczach.

— Co chcesz mi powiedzieć mój synu? — zapytał doktor, kładąc poważnie rękę na ramieniu chłopca.

— Nie jestem synem twoim — rzekł Oliver. — Po co to złudzenie? Jestem cyganem, pierwszym cyganem uczonym, to prawda, ale cyganem zawsze i przedewszystkiem. Znalazłem swoich, którzy mię nigdy nie spuszczali z oczów i zmieniłem nieco poglądy na życie, które mi chciałeś narzucić. Słyszałem wiele od ciebie o naturalnej religji, mającej być pierwszym stopniem na drodze do zrozumienia praw i prawd życia duchowego: religji miłości, lecz uważałem to zawsze za podstawę wszystkich twych złudzeń. Po co nam ta religja, zasady, poświęcenia? Raz tylko żyjemy. To nasze, co użyjemy w tem życiu. Głupstwem więc jest wyrzekać się dobrowolnie uciech i przyjemności, których nam nic nie zastąpi. Nauka jest pożyteczną i pożądaną o tyle, o ile rozszerza zakres dostępnych dla nas rozkoszy, o ile jest bronią i narzędziem dla nas, o ile nam zapewnia powagę w powszechnej walce o byt i używanie. Cóż warte życie pozbawione wszystkiego, co wartość jego stanowi? Rozum każe nam żądać od niego, jak największejsumy przyjemności i podaje środki służące do osiągnięcia tego najwyższego celu. Oto moja religja. Nauka jest jednym z tych środków, głównym, jednakże, jest pieniądz. Aby go zdobyć, obmyśliłem sposób, który, zresztą, nie krzywdził nikogo. Nazwano to występkiem. Cóż na to mogę odpowiedzieć? Nie chcę wchodzić w szczegóły, inni mnie w tem wyręczą, zdaje mi się, że to, co powiedziałem, dostatecznie wyjaśnia wzajemny nasz stosunek. Przykro mi ze względu na ciebie, iż doświadczenie twoje nie zostało uwieńczone pożądanym rezultatem. Byłeś dobrym dla mnie i pragnąłem dopóki można, uszanować twoje złudzenia, które zapewniały ci szczęście. Moje przekonania nie nakazują, bynajmniej, burzyć szczęścia innych, jeżeli ono nie stoi na drodze do osiągnienia mojego. To wszystko!

Doktor siedział na krześle z czołem opartem na dłoni. Milczał. Czy powiedział, co jeszcze swemu przybranemu synowi, niewiadomo; w kilka minut potem Oliver był na ulicy.

Czekał tu na niego pan Mayes.

— Oddaj mi moje pieniądze! — zawołał, rzucając się na wychodzącego.

Oliver ruszył ramionami i spokojnie szedł swoją drogą, lecz lichwiarz nie odstępował go, ani na krok, powtarzając: oddaj, zapłać!

Przed progiem mieszkania zatrzymał go za połę, grożąc, że będzie tu gościem codziennym, że lata całe powtarzać będzie zawsze i wszędzie swemu dłużnikowi: oddaj, zapłać!

Ale nazajutrz nie zastał go w domu, ani w laboratorjum. Profesor chemji zawiadomionym został, iż asystent jego, w skutek nieprzewidzianych, a nagłych interesów, zmuszonym był niezwłocznie wyjechać do Heidelberga Nie oznaczał nawet dnia powrotu.

XIV.

Po raz ostatni.

Po raz ostatni zgromadzili się wszyscy raz jeszcze dokoła wspólnego stołu. Wydawano obiad na cześć Laurentego, na cześć nowego kuzyna, który, jak Opatrzność, zjawił się pośród rodziny i bez wyjątku pozyskał jej serca.

Obiad był uroczysty. Z wielkiego, żelazem okutego kufra wyjęto cienką bieliznę, srebra i porcelanę prawdziwą, przechowywaną tu bardzo starannie. Ciotka Kornelja miała klucz od kufra i dziewczęta pierwszy raz w życiu zapoznały się bliżej z zawartością tego rodzinnego skarbca. Teraz dopiero zrozumiały dobrze, do jak szanownej należą rodziny.

Lucyusz Cottle miał niemniej twarz rozpromienioną. W czarnem świątecznem ubraniu stąpał delikatnie i cicho swemi cienkiemi nóżkami, a każde jego spojrzenie świadczyło, jak głęboko czuł swoję godność.

Ciotka Kornelia tylko była zasępioną: Laurenty oznajmił dzisiaj, iż z trudem odnaleziona siostra jego matki weźmie udział w tej uroczystości. Flora przy wspólnym stole! Wiedziała ona, że biedna istota odszukaną, wreszcie, została, słyszała nieraz jej imię wymawiane przez Laurentego, lecz wówczas odwracała głowę, zaciskała mocno wązkie wargi, pocieszając się nadzieją, że wytrwa do końca w tej biernej o niczem niewiedzącej roli. Lecz teraz ma zająć naprzeciw niej miejsce u stołu — u stołu otoczonego szanowaną i zacną rodziną, pod dachem nieśmiertelnego Wincentego Cottle, który tak wysoko stawiał zawsze honor rodziny!

Biedna Flora! Nikt nie wiedział, jak gorzkiem było jej nowe szczęście, jakiemi łzami oblewała, co noc miękkie hotelowe poduszki. Laurenty dobrym był dla niej, odwiedzała ją Kasia z Alteą, nie brakło jej posilnego jadła, ani ciepłego ubrania, a przecież... Zdawało jej się, że nigdy, nigdy przedtem nie czuła tak swojej nędzy, nie cierpiała tak bardzo nad swoim upadkiem. Nie miała czasu. Głód, nędza, i cierpienia fizyczne, odrywały myśl jej od przeszłości, była nieszczęśliwą, ale to nieszczęście stało się prawie jej naturalnym żywiołem, potrzebą może. Łaknęła kawałka chleba, ciepłego ogniska, to ją pochłaniało. Dziś miała wszystko, wszystko prócz spokoju.

Stawała nad rzeką i patrzyła długo w cicho płynące jej fale: tam w głębi wieczny odpoczynek, tam nikt nie będzie czytał na jej czole bolesnych wspomnień przeszłości.

Dzisiaj, po tylu latach rozłąki i zapomnienia, zasiąść miała do wspólnego stołu z rodziną. Powiedział jej o tem Laurenty i słuchać nie chciał jej próśb i wymówek. Musi oswoić się z ludźmi, musi do nich powrócić, inaczej być nie może, wszak odtąd jej życie płynąć będzie w rodzinnem gronie.

Myślała o tem, patrząc na szeroką rzekę i małą łódkę, niknącą w oddali: widziała kto nią popłynął, — Laurenty i Altea, szczęśliwi...

Szczęśliwi byli istotnie. Wiedzieli i czuli oboje, iż słowo święte, a dotąd niewymówione, połączy ich dzisiaj na całą przyszłość i życie.

Nagle młodzian ujął dłoń dziewczęcia i spojrzał jej w oczy łagodnie.

— Chcę się wyspowiadać przed tobą, Alteo — rzekł cicho, — przyznać się do winy, zanim się ośmielę powiedzieć ci o tem, co nie może dla ciebie być już tajemnicą. Nie chcę, ażebyś i ty w błędzie była, nie może kłamstwo stać pomiędzy nami. Twój ojciec wyobraża sobie, że przyjechałem z Australji, ażeby go poznać. Ja tego nie powiedziałem, lecz nie miałem nigdy odwagi rozwiać jego złudzenia. Co więcej, ażeby uszczęśliwić ciebie, ażeby zadość uczynić twojemu pragnieniu, przyczyniłem się jeszcze do utrwalenia i ugruntowania jego zwodniczych iluzyj. Tu grałem już czynną rolę. Sam napisałem artykuł i kazałem go wydrukować w jednym egzemplarzu znanego mu niegdyś pisma. Potem okoliczności, przypadek wzmocniły jego wiarę, potwierdziły błędne przekonania, to już nie moja wina. Czy masz mi za złe, Alteo, to co uczyniłem.

Ona uśmiechnęła się smutnie i podniosła na niego głębokie, kochające spojrzenie.

— Wiedziałam o tem już trochę — odparła — kupiłam sobie pismo, które tak chwaliło pracę mego ojca, lecz w żadnym egzemplarzu, nie znalazłam tego artykułu, a inne rzeczy...

Miała łzy w oczach i umilkła.

— Więc dzieła mego ojca nie mają wcale czytelników? jego sława jest urojeniem? — spytała znowu po chwili.

— Tak, droga, jest on zupełnie nieznanym. Dzieł jego nikt nie czyta i nie krytykuje. Kiedy wyjdzie tom drugi, wyślemy go do Europy, a on w naszem blizkiem i kochającem go kółku będzie mógł zawsze zachować swoję wiarę.

— Tak — szepnęła dziewczyna z pochyloną głową.

Laurenty wziął jej rękę i podniósł ją do ust.

— Najdroższa — odparł równie cicho, — więc mi pozwolisz być mu nadal synem uczniem i przyjacielem, kochać go razem z tobą i nie rozłączać się nigdy... nigdy... nigdy...

Nagle objął ją wpół i usta do jej ust przycisnął. Altea się nie broniła, była, jak bezwładna, nawpół zaledwie przytomna. Wieczorem dopiero, kiedy przypomniała sobie, iż stało się to w dzień biały, na otwartej rzece, pośród przesuwających się statków i ludnych wybrzeży, oblała się ciemnym rumieńcem.

Lecz już się stało.

Pojedzie z nim do Australji, na koniec świata, pożegna piękne zielone wybrzeża, rzeką i niebo, Bank Side i dom, w którym się urodziła, — pożegna wszystko i pojedzie za tym, którego duszą całą ukochała

Może powrócą tu kiedy.

Myślała o tem nazajutrz, siedząc przy wspólnym stole wraz z ojcem i rodziną Cottle, — doktór tylko wymówił się od towarzystwa; od czasu rozmowy z przybranym synem poświęcił się zupełnie swoim biednym i zdawało się, że nie potrzebuje już wcale czasu na wytchnienie do pracy.

Kornelja siedziała naprzeciwko Flory, która w czarnej jedwabnej sukni wyglądała

jeszcze dziwnie powabnie i młodo. Zakrystjanka miała twarz surową i wpatrywała się w swoję ofiarę wzrokiem bezlitośnym. Flora ze spuszczonemi oczyma, zmieszana i niespokojna, cierpiała widocznie. Laurenty jej usługiwał z synowską troskliwością, chcąc ją pokrzepić i dodać odwagi.

— Pani Suiclar — odezwała się, wreszcie, Kornelja, — słyszałem, iż mąż twój był agentem handlowym i pochodził z północnej Anglji. Cieszy mnie, iż pozostawił opinję człowieka uczciwego i szanowanego powszechnie, gdyż w rodzinie naszej nie było dotąd członków, którychbyśmy wstydzić się potrzebowali.

Flora nagle podniosła się z miejsca, twarz jej gorzała rumieńcem, usta drżały boleśnem wzruszeniem, łzy palące czuła pod powieką.

Laurenty ujął jej rękę łagodnie i posadził znów obok siebie.

— Ciotko Korneljo — odrzekł bardzo poważnie, — nie tykajmy dzisiaj rachunków przeszłości i nie zatruwajmy sobie wzajemnie obecnej chwili wesela.

— Chciałem tylko powiedzieć, że Flora będzie miała wiele do opowiedzenia siostrze swojej, Lady Waller, o mężu Ryszardzie Suiclar, który był agentem handlowym i cieszył się najlepszą opinją. Lucya też cierpiałaby bardzo, gdyby było przeciwnie. Wszyscy dbaliśmy zawsze o honor rodziny.

— Ciotko! — zawołał Laurenty, lecz Flora już stała przy drzwiach. Jej twarz i oczy wyrażały boleść najwyższą.

— Nie jestem Florą Suiclar—zawołała.— nigdy nie miałam męża, nie jestem godną zasiąść w waszem kole, byłam żebraczką i wyrobnicą lat tyle, zostanę nią znowu, niema dla mnie miejsca na świecie!

Otworzyła drzwi szybkiem ruchem i zniknęła za niemi, nim obecni zdążyli zrozumieć jej słowa. Laurenty pierwszy zerwał się, aby biedz za nią, Feliks i Semproniusz pośpieszyli także. Reszta biesiadników spoglądała na siebie z niepokojem, tylko Kornelia, sztywna i wyprostowana, jak żołnierz na stanowisku, siedziała, patrząc przed siebie dumnie i surowo.

Pierwsza Kasia rzekła z tradycyą przyzwoitości i wysunął się także do sieni, za nią wyszli Altea, Kawaler i Flavia z ciotką Klaudyą. Lucyan nawet nie zdołał zapanować nad swym niepokojem

W ulicy, jednak, nie widać nic było i dopiero okrzyk Altei zwrócił uwagę na gromadkę, dążącą do schodów ku rzece wiodących. Na czele postępował Semproniusz, za nim Laurenty i Feliks nieśli omdloną kobietę, z której mokrych sukien spływała woda. Ubranie Laurentego świadczyło, że i on także zanurzył się w wodzie. Feliks pomagał mu nieść nieszczęśliwą.

Złożono ją na łóżku w gościnnym pokoju, wezwano natychmiast doktora, dużo, jednak, upłynęło czasu, nim biedna kobieta otworzyła oczy. Nad nią stała Klaudya, Altea, Kasia i Flavia.

Klaudya ucałowała ją w czoło.

— Nie pytaj o nic — rzekła — jesteś między swojemi, uśnij spokojnie i nie myśl o tem, co było.

Biedaczka ośmiechnęła się nawpół przytomna i do ust podniosła trzymaną w ręku dłoń Klaudyi.

— Myślałam — zaczęła ledwo dosłyszanym głosem, — myślałam...

Śpij, droga, jutro rozmawiać będziemy, nie o przeszłości, która już minęła, lecz o teraźniejszości i przyszłości twojej. Ja cię rozumiem, najdroższa. Cierpiałaś i pokutowałaś To dość. Nie pojedziesz do Lucyi, nie będziesz wstydzić się przed nią, ani kłaniać, — zostaniesz przy mnie. W naszym kościele umieją przebaczać i zapominać. Kto kocha i cierpi, jest bratem naszym. Naszym Bogiem — miłość. Miłość, taka miłość, nie może być surową. Śpij spokojnie, Floro zostaniesz członkiem naszego kościoła, mieszkać będziesz ze mną i nikt ci twojej przeszłości wyrzucać nie będzie, nikt cię nie będzie pytał i zmuszał do kłamstwa. Lucya nigdy się nic nie dowie. Śpij, droga, biedna pokutnico. — Flora uśmiechnęła się znowu i zasnęła spokojnie, jak dziecko.

W kilka dni potem na pokładzie odpływającego okrętu stała gromadka podróżnych, powiewając chustkami na znak pożegnania tym, którzy patrzyli za nimi z wybrzeża. Laurenty trzymał za rękę płaczącą Kasię, Altea stała obok ojca, Feliks płonącym wzrokiem patrzył na kuzynkę. „Czy pozyska teraz jej serce?»

Poeta miał twarz pogodną i pełną szlachetnej dumy, Altea oczy czerwone. Pomimo wszystko, ze smutkiem żegnała rzekę ukochaną

Pozostali na brzegu w milczeniu wracali do domu, który dziwnie pustym wydał im się teraz, — pozostali w nim tylko Lucyusz i Kornelia Flavia z Kawalerem mieszkali w pobliżu kaplicy, a Flora była tylko przy Klaudyi.

Lucyusz zajmował znowu stanowisko godne głowy tak szanownej rodziny, był kasyerem w założonej świeżo instytucyi, noszącej miano »*Rożyczkowej kasy ubogich*“, ufundowanej przez dobroczynną sukcesorkę zmarłego Samuela Norbery, która odziedziczonych po nim kapitałów użyć dla siebie nie chciała. Pragnęła ona, by choć tym sposobem uboga ludność przedmieścia korzystać mogła z majątku, zgromadzonego niegdyś jej krzywdą. Połowa kapitału pozostawało w obrocie, zabezpieczającym go od wyczerpania, druga przeznaczona była na bezprocentowe pożyczki i wsparcia dla najuboższych i najbardziej potrzebujących.

Mieszkańcy Bank-Side jednogłośnie tę instytucyę, która już niejednego ochroniła od głodu, nędzy i rozpaczy. Doktór Luttrel zalicza się do jej członków i czynny udział bierze w szafowaniu pieniędzmi, które syn jego przybrany pragnął zdobyć jako narzędzie, mając mu dostarczyć jaknajwiększej sumy rozkoszy i przyjemności.

K o n i e c

Z wycieczki.

Krynica — Szczawnica — Zakopane.

(Dokończenie).

Sześciomilowy przejazd ze Starego Sącza do Szczawnicy, należy do najpiękniejszych, jakie w podróży gdziekolwiek spotkać można. Jedzie się wśród pysznych krajobrazów, górzystych, dzikich, zachwycających i imponujących fantazją natury. Srebrzysty i zawsze niespokojny Dunajec wije się bezustannie wśród tego górskiego krajobrazu. Sześć mil, gdy się jedzie w dzień przelecą niepostrzeżenie. Ta część drogi do Szczawnicy, może być tylko porównana z krajobrazami w Szwajcaryi, a pod wieloma względami, pewną oryginalną uroczością przewyższa szwajcarskie pejzaże. Rozczarowywa nieco popas, wypadający na pół drogi do Szczawnicy w małem i nędznem miasteczku, Łącku — nie dla tego, że jest małe i nędzne, lecz, że się usadowił w niem restaurator w domu, nazwanym „polskim hotelem“, obdzierający podróżnych w nielitościwy sposób; jest on katolikiem, z Nowego Sącza, ale pięciu żydów tak nie zedrze. Najprzód, fizjognomja tego pana restauratora, czy szynkarza nie wzbudza zaufania i odpycha od siebie, a jak ci każe zapłacić 60 ct. za zwykły wołowy kotlet siekany na wpół z chlebem, a za kieliszek prostej siwuchy 10 ct. — to się odrazu przekonasz z kim masz do czynienia. Trudno nawet pojąć, że władza z Nowego Sącza nie wdaje się w tego rodzaju sprawy i ustanawiając cennik, nie weźmie w opiekę podróżnych, bo oczywiście, miejscowy wójt, chłop, w takie sprawy restauratora wglądać nie będzie i nic go to nie obchodzi, bo niech panów drą — oni są od tego na świecie. To też ten „hotel polski“, tak się już obniósł, że zajeżdzają do żyda w Łącku, gdzie jest taniej i lepiej, a równie brudno i koślawo, jak i w „polskim hotelu“.

Według mego zdania, Szczawnica jest najpiękniejszem miejscem kąpielowem i leczniczem w Galicji, a w Kongresówca n. p., ani jedna miejscowość kąpielowa, czy lecznica, nawet w przybliżeniu porównać się ze Szczawnicą nie może. Jeden tylko Ojców, ze swoją Pieskową Skałą, miejscowość i okolica dla letników, ale nie dla kurujących się, stanąć może obok przepięknej, pod względem krajobrazowości, Szczawnicy. W ostatnich czasach, co do wygód w Szczawnicy, bardzo wiele zmieniło się na lepsze. Znaleść można łatwo mieszkanie porządne, a nie drogie, a ci, co się stołują w restauracjach, muszą przyznać, że kuchnia w nich jest zdrowa i smaczna. Trzy są główne punkta, w których się zbiega ruch kulinarny w Szczawnicy: na Miodziusiu, w willi państwa Biernackich i w parku, w zakładzie gastronomicznym p Jałoszyńskiego, oraz na deptaku, w restauracji p. Oleksy. Państwo Biernaccy cieszą się w Szczawnicy wielką i zasłużoną popularnością, a ci, co mieszkają w ich willi, nie mogą się nachwalić uprzejmości, gościnności i troskliwości gospodarstwa. Zakład restauracyjny p. Jałoszyńskiego jest wykwintny, urządzony po warszawsku i bardzo troskliwie doglądany i zagospodarowany przez właściciela, który jest warszawiakiem i należy do rzędu niezwykłych mistrzów kulinarnych. Zakład p. Oleksy jest również chwalony przez gości i nic mu zarzucić nie można.

Głównym gospodarzem Szczawnicy; która, jak wiadomo, jest własnością akademji umiejętności, jest p. Zielonka i jemu też przeważnie Szczawnica zawdzięcza swój rozwój. P. Zielonka u wszystkich kuracjuszów posiada niepodzielny szacunek i szczególne uznanie, na które bezwarunkowo zasługuje, bo jest człowiekiem zacnym, dyrektorem pilnym, troskliwym i bardzo uzdolnionym w swoim zawodzie, a odznacza się przytem niepospolitym taktem. Wspomnieć muszę, że świeżo został otworzony w Szczawnicy zakład hydropatyczny dra Kołączkowskiego — zakład ten zaraz, jak to powiadają, z kopyta pozyskał uznanie u kuracjuszów, którzy z wielkiemi pochwałami od-

zywają się o dr. Kołaczkowskim. Inni lekarze, a jest ich kilku, podczas sezonu kąpielowego, mają obszerną praktykę w Szczawnicy.

Ze Szczawnicy przez Nowy Targ, jedzie się do Zakopanego, na góralskich wózkach; jak kto koniecznie chce — to może dostać i powóz, ale tylko ze Szczawnicy, bo górale, z Zakopanego i z Nowego Targu powozów nie mają, tylko wózki z budą płócienną.

O Zakopanem rozpisywać się nie będę. Jest to miejscowość, do której zjeżdżać się powinni i, niezawodnie, kiedyś zjeżdżać się będą turyści i ci którzy chcą odpocząć wśród najzdrowszej atmosfery — z całej Europy. Zakopane imponuje wszystkiem, co dała natura — ale, co do wygód, to mu tak daleko, jak daleko do tych szczytów tatrzańskich, na których podczas lata i skwarnego słońca, śnieg bieleje i zima wystrzerza zęby na ludzi. Ale i tu w ostatnich czasach wiele się zmieniło na lepsze, zresztą, coraz więcej buduje się prywatnych willi, czy tam dworków, a więc każdy w swojej własnej chacie, może sobie urządzić życie, jak mu się podoba. Zamało jest jednak, jak dotychczas opieki władz rządowych i autonomicznych, nad tą cudowną miejscowością.

W Zakopanem znajdują się trzy zakłady lecznicze: dra Chramca, dra Piaseckiego i dra Chwistka, z których dra Chramca, jest największy i najbardziej uczęszczany przez cierpiących — zdaje mi się jednak, że Zakopane, jest całe naturalnym leczniczym zakładem i, że nic nie robiąc, tylko oddychając zakopańskiem powietrzem i chodząc w góry, chory zdrowieje, a zdrów silnieje.

Jak wiadomo, niedawno hr. Zamoyski został właścicielem dóbr zakopańskich, posiadających ogromne obszary. Od tego czasu rozpoczęła się nowa era dla Zakopanego. Hrabia Zamoyski oddał mu się całą duszą — mieszka tam z rodziną latem i zimą i dokłada najusilniejszych starań, aby w Zakopanem, oprócz tego, co zrobiła natura, kwitnął dobrobyt, rozwijał się odpowiedni przemysł i, aby miejscowość ta, stała się w całem znaczeniu tego pojęcia miejscem klimatycznem, — oazą dla tych wszystkich, co chcą odpocząć, rozerwać się, uprzyjemnić sobie kilka tygodni po pracy i pokrzepić się na przyszłość.

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Fr. Ks. Kowaliszyn. Z drukarni W. A. Szyjkowskiego ul. Kopernika l. 5. Telefon 117.